

# KRAKÓW

POEZYJE NOWELE FRAGMENTA DRAMATÓW



**MCM**

RYSUNKI I UKŁAD  
ST. WYSPIAŃSKIEGO

JAN PIŚZER

WYDAWCA  
S. ROYBY-SWIĄT, G.





— 51 —

*J. Postawowski*

# KRAKÓW

POEZYJE NOWELE FRAGMENTA DRAMATÓW



**MCM**

RYSUNKI I UKŁAD  
ST. WYSPIAŃSKIEGO

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63

<http://rcin.org.pl>



622

ODBITO w DRUKARNI NARODOWEJ w KRAKOWIE.

JEDLICZ  
KISIELEWSKI  
KLECZYŃSKI  
LESZCZYŃSKI  
LEWIŃSKI  
NIEDŹWIECKI  
ORKAN  
PERZYŃSKI  
PRZYBYSZEWSKI  
RYDEL  
SIEDLECKI  
STEN  
STOPKA  
STEFANYK  
SZCZEPAŃSKI  
SZUKIEWICZ  
THERESITA  
TETMAJER  
WYSPIAŃSKI  
ŻUŁAWSKI





*K*RAKOWSKA plejada artystyczna to nie szkoła literacka, nie wielka rodzina, złączona węzłem pokrewieństwa dusz — to raczej szereg indywidualności i kontrastów. Pod różnymi wpływami wzrosła: niesłychana więc w niej rozbieżność duchowa; brak wspólnego ideału i różna wiara.

Poprzedzał ją Nowicki: gorący, namiętny, tęskniący, że «uwiędło dawnych wieszczów lato», że «z Wawelu wieżyc cicho płacząc dzwony» — i rwący się, by «powlec trupy za rydwanem słońca.» Dziś zamilkł, a część jego marzeń — nie porywów — przejął Wyspiański, malarz i poeta, odnawiający zda się pamięć wszechstronnych mistrzów Odrodzenia. Krakowianin, zakochany jest w przeszłości, naszej i obcej, w półbogach, którymi greckie swe tragedye ożywia, w starciach dusz prostych, silnych i szczerých; — w skarbcu języka zczerniałych wiekiem klejnotów szuka i do nowego blasku wraca. Sławny, lecz nierozumiany i nieodczuty — jest sam, tak sam, że chcąc o poezji jego mówić, trzeba go koniecznie nazwać po imieniu. Obok niego, razem — a na przeciwnym zda się krańcu — inni z całą skalą uczuć, obcych zupełnie dziełom Wyspiańskiego, zrywający umyślnie ze wszystkim, co jednostki twórczej nie dotyka wprost, co płci jej nie rozszaleni i myśli w wizjach nie topi. Inni znów, dziwne samoluby, zakochani nie w sobie, nie w sztuce nawet, lecz w rymach, którymi wiersz swój ozdabiają, toczą je, gładzą niby dla żartu, obcy wszystkiemu, co nie jest ich kunsztem. Inni owiani tchnieniem żywym rodzinnych gór, z pełnią młodych sił, z pierwotną jakąś mocą i rozmachem duszy. Inni, których wyobraźnia szybuje po bezdrożach myśli, w odwiecznych jej krynicach się przegląda, jak Ananke przesuwa swe kukły na teatrze bogów, inni z żarem namiętności a myślą chłodną, czynni — z wiarą, że wszelki czyn jest obojętny nawet dla tego, który działa — inni, i jeszcze inni.

Cóż więc tę różnorodność dusz wiąże, co przybyszów stron tyłu w Krakowie łączy?

*Najpierw piękno, piękno, którem przyroda i wieki dziejów przystroiły święte miasto Polski. Przyroda rozpostarła naokół umajoną równinę, przenizała szmerem strumieni, pogięła we wzgórza miękkie, jak pieszczota, na widnokregu srebrne podźwignęła Tatry. Dzieje dały miastu czerwone niby krew pokoleń mury kościołów, wieże lotne, kopuły pleśnią wieków zielone, Wawelu nieśmiertelne, niewzruszone ciosy, Sukiennic rzeźbione arkady, hejnał z wieży Maryackiej, ku czterem stronom świata płynący — niby błogostawieństwo i hasło czuwania, — dały czar nieuchwytny, mocny, nieprzeparty...*

*Powtórę: swoboda. Tu prócz piękna nie pozostało nic. Tradycja umarła; wszystko, co jest, urodziło się wczoraj, przed chwilą lub powstać ma dopiero. Życie całe buduje się na nowo, pospiesznie, bo czas pali a grunt niepewny. Inteligencji, salonów niema, wpływowej krytyki, rynku literackiego niema. Artysta żyje u siebie w domu i w kawiarni. Poza kawiarnią nic nie wydaje echa, nikt nie współczuje, a więc i nie współtworzy z poetą. Pisze więc on dla siebie, dla przyjaciół, dla nielicznej garstki, która go w tem lub innem efemerycznym piśmie przeczyta. Jest sam: nikt nie zapewni mu rozgłosu, ale też nikt nie przeszkadza mu tworzyć tak jak pragnie. Bez wpływu na zewnątrz, bez promieniowania — mimo istotnego blasku — twórczość ta przestaje być «działalnością literacką», a przeobraża się na spowiedź gorącą, namiętą, brutalnie szczerą, wobec innych i siebie. Odrzuconym jest wstyd: artysta spowiada się nie tylko z marzeń i wizyj, lecz i z życia swego. Szept spowiedniczy drży w całej literaturze krakowskiej i można go usłyszeć nawet tam, gdzie na pozór niema nic prócz obserwacji: u Kisielewskiego lub Orkana. Gromadzą się więc w Krakowie ci, dla których swoboda szczerości jest warunkiem bytu.*

*Potrzenie: miłość. Miłość, czasem płomienna jak ogień natchnienia, czasem śmieszna, jak rumieniec na twarzy żaczka, czasem zuchwała, jak wyznanie wiary — miłość dla Sztuki. Po zgonie tyłu wiar — wiara ostatnia; krzyk pokolenia, które się dusi naprzemian niemocą i nadmiarem sił i szuka wyzwolenia, niepamięci, możliwości życia.*

JAN STEN.



JÓZEF JEDLICZ.

### EVOE VITA...

Oto wraca w tryumfie jasny, zadumany  
 Zwiastun łąk kwietnych, zmartwychwstały w wonną ciszę —  
 Oto znów wokół żywy stujęczyczny hymn ów słyszę;  
 W górze łąka coś radośnie, jak ciche organy...

To bór śle rzewne modły do Pana nad pany:  
 Rozplakany żywicą rząd jodeł się kołysze —  
 Wiosna, hej wiosna idzie w majestacie i pysze,  
 Pieśń jej srebrne krynice nucą na przemiany.

Białe mgły, wykąpane w jutrzni bładem złocie,  
 O siwy grzebień boru czeszą puch na swych runach  
 I lecą w martwe tłoki i zwiędłe paprocie.

I w płasach, w gwarze ptactwa, w poblaskach zórz i łunach  
 Niosą wieść o górnijszym, promienniejszym locie,  
 O szalach burz czerwonych i złocistych piorunach...

## URYWEK.

...I żyjem wiecznie — smutni, obłąkani Prometeje —  
 Gdybyż nas rannych przykuto gdzieś do skalnych zwałów,  
 Poobcinano skrzydła jednodniowych zapałów  
 I zakryto tę próżnię, której żaden wiatr nie zwieje!...

Lecz dano nam słomiany pancerz troski — i... nadzieję...  
 Dano przemądry ów uśmiech łez na licu bladym,  
 Czarę próżną do drżących ust, z gwiazd sztucznych dyadem  
 I ten ból jakiś dziwny, który nigdy nie rdzewieje...

Zaczem napróżno męczym się w bezdusznej atmosferze.  
 I czasem, wir tęsknicy i głuchy żal nas bierze  
 Za czemś świętem... lecz wnet widzím naszych żądź znikomość  
 I popadamy znów w tę zatrutą, martwą nieruchomość...

Więc wierzym, iż wszystko względne na ziemi i na niebie  
 I że nawet ów ból, nasze Bóstwo i Natchnienie,  
 Nie trwa w nas dłużej nad jedno jedyne oka mgnienie,  
 Że nie możemy zamknąć w duszy nic... nic wyrzecz ze siebie.

I śmiejem się przez łzy jak waryaci na pogrzebie...  
 Mrówcze życie wre w dole... W nas dreszcz budzi takie życie...  
 A może lepiej wrócić się... Ach, serca czuję bicie —  
 Mój Dajmon szepce mi z uśmiechem: jeszcze czas na ciebie...



JAN AUG. KISIELEWSKI.

## „SONATA“

kompozycja dramatyczna w pięciu częściach.

*Tański, obłąkany, nigdyś muzyk i kompozytor, ma córkę, Wilę, która jest śpiewaczką. Wila kocha młodego malarza, Ryszarda. Dr. Leliwa, który także Wilę kocha, obrażony przez Ryszarda, wyzwał go na pojedynek. Wila o tem nie wie...*

### CZEŚĆ CZWARTA.

Salon Tańskich. Wieczór. Na ścianie wisi podmalowany obraz Ryszarda: „Pieśń“.

TANŃSKI staje w progu swojego pokoju. Wzrok błędny, ręce bardziej, niż zazwyczaj drgające. Kilka kroków: stanął. Trwożnie rozgląda się. Postąpił znowu — szepce:

Sonata... dziś... sonata...

Rzucił spojrzenie na instrument, znowu bada, czy kto nie podgląda.

Tak, dzisiaj... mistrz... teraz... mistrz... Sonato!!!

- 6 Rzucił się na fortepian, klawiaturę odkrywa z łoskotem. Czekają. Teraz wyciąga rękę nieśmiało, uderza lekko w klawisz wiolinowy, cicho prosi:

...Sonato...

Milczenie. Drży. Dotknął innego klawisza, błaga:

Sonato... ojciec, mistrz prosi.

Kilkanaście tonów.

Sonato, czy słyszysz?! Sonato!!

Huragan bezładnych akordów. Rozpacz, szaleństwo.

Sonato, ty jesteś?! Sonato! Sonato! Sonato!!

Sonaty niema — niema Sonaty — o... o!...

Jęk; konwulsyjne łkania. Pada na kolana, głową bije o fortepian.

— Znowu atak! wbiega Żurawski.

— Józia, Józia!!

TAŃSKA, za nią służąca.

— Jak można zostawiać samego!!

Tański na widok biegnących umilkł nagle. Wyprężył się; szklanym wzrokiem patrzy na żonę; urwany, dyszący pół-ton, wyciąga ramiona, jakby chciał bronić się, palce kureczy, zgina, znów rozkłada. — Tańska w połowie drogi stanęła; unieruchomił ją wzrok męża. Zsuwa się na fotel. — W tej chwili wpada WILA. Na widok ojca zachwiała się, chwyciła się za pierś, za gardło; stoi oparta o drzwi. — Żurawski i służąca wyprowadzają Tańskiego. Wila, wpatrzona w matkę, milczy. Tańska wyłkała:

— O, o, dziecko moje!

Wila drgnęła. Ręka od gardła zsuwa się na pierś. Głową porusza, jak gdyby uwolnić się chciała od czegoś, co jej oddech tamuje. We wzroku żądanie bezwzględne; idzie ku matce. — Tańska podnosi oczy... zrozumiała. Jęk:

...Miej litość, miej litość nademną!!

Wila obok matki osuwa się na kolana; głowę wsparła na dłoni, łokieć na poręczu fotelu. Milczy. Znów... ściągnęła brwi, otwiera usta, głowę podnosi, wstała. Wpatruje się w matkę, potem głowę od niej odwraca, trzykrotnie uderza się pięściami w skronie... ooch!... — Tańska chce wstać, opada w siedzenie.

...Dobrze... Powiem.

Milczenie.

Byliśmy oboje szczęśliwi. On był muzykiem. Potem... ach!... Dobrze, powiem...

Była kobieta, pod jej wpływem on stworzył sonatę — dzieło. A ja byłam wówczas tak, jak dzisiaj ty... i we mnie była miłość namiętna, zazdrość... i to się stać wtedy musiało...

...Rozszalała w gniewie, nuty stargałam; powiedziałam, że wiem o wszystkim, o tej ich miłości. Powiedziałam to jemu i jej...

On nie chciał, abym ja o tem wiedziała, ta!; on kochał, ja nie 7  
wiem, i tamtą i mnie... to było straszne...

...Dla nikczemnej zazdrości! Nie znałam wtedy Boga, tylko  
jedną miłość.

...Zerwałam ten ich stosunek. Tamta zatrula się zgryzotami...  
a to była... moja... siostra rodzona, której ty nigdy nie znałaś.

Błysk ciemny szalonej trwogi.

I mówili, że ona sama, powoli... na rany Boga, to nie prawda  
jest!...

Ja... ja wiem... ona umarła.. naturalną śmiercią... naturalną,  
ja wiem... Nie może mówić.

A ojciec, twój ojciec, sonaty napisać drugi raz... już... nie  
potrafił... potem... choro... chorował... i twój ojciec... ha, ha, ha!...  
już wiesz i już wszystko wiesz!!

Pauza.

— Jak jasno! Jaki krwawy blask!

Wila nieruchoma stoi jak słup. — Milczenie. — Tańska tłumi spazma-  
tyczne lkania, spojrzala na córkę — przerażenie. Pochyliła się, wy-  
ciągnęła dłoń, krzyk:

Wila!...

Milczenie.

Mów!...

Milczenie.

Ja nie chcę!... Ja nie chcę, byś ty milczała!...

Milczenie.

...Ty, ty, córka! Ty dziecko moje jesteś!!!

Zabiłam jego, jego duszę, rozum, jego twórczą pieśń, mojego  
życia życie. Dla miłości podeptałam miłość; potem całe piekło pło-  
nącego bólu, cały czyściec zgryzot, kajania się, pokory, codziennie  
cała wieczność — tego mało, to wszystko za mało! Teraz córka  
moja, jedyne moje dziecko... jedyne, jedyne, jedyne... a! a! a!...

WILA. Nie mam. Nie *to*, co myślisz. Bo teraz jeszcze bar-  
dziej kocham cię, niż przedtem...

Urwany krzyk szczęścia.

...Bo ty strasznie cierpiałaś; to wtedy także być musiało.  
Teraz jasno, wszystko już jasno.

...To jest coś wielkiego nad nami i w nas wszędzie... straszne  
i nieublagane, co życie daje i śmierć...

Ha, ha! Wiem, ale zapóźno. Bo teraz musi przyjść *ta* chwila...  
Ja teraz już wiem.

8 TAŃSKA wsłuchana czeka. W oczach prośba i pytanie męczące. Niech mówi, niech mówi dalej, nic nie rozumiem.

.. Ja czułam, że tam mi być; wśród złońca, zieleni. Ale już zapóźno; bo w tym domu musiałam, bo ty mi duszę zatruliś, że nie dla mnie jest miłość.

— Dziecko moje! Całe życie dałam i w ciebie wpoilałam, abyś nie była, jak ja! Abyś ukochała czyste idee, nie stała się niewolnicą swojej natury.

— O, tak, tak. I nie mówiłaś dlaczego, a ja wierzyłam, że tak być powinno zawsze i wszędzie, wierzyłam wbrew mojej naturze, jak tylko matce może wierzyć córka.

Potem Ryszard przyszedł... i to... wtedy stać się musiało.

Tam, tam... ojciec! Straszne słowo: »ojciec«; moja miłość, nienawiść, litość i ohydny strach, to wszystko tu, w piersi, gdy jego obłąkany jęk słyszę. Wtedy we mnie coś kawałkami odrywa się, niknie, zanika...

Te ciemności, matko, te tajemnice poszarpały we mnie... wszystko zszarpały!

Tak było ciągle: z jednej strony ty, wieczorne rozmowy, które całą duszą chłonełam i twoje wierzenia... a z drugiej Ryszard, jego wielka miłość.

A potem zawsze ojciec, wiecznie jak cień, jak klątwa, jak przeczucie skonu... Moja pieśń — i jego sonata... Ta walka z tem wszystkim... ta walka!

I już nie mogłam się obronić. Bo... jego sonata... tu, tu... a teraz... przyjdzie t a m t a, matka jego sonaty... zabierze... i już nie będzie...

I już nie będzie sonaty!

Ah, przyjdzie jak zemsta, jak niezblągana konieczność...

Splecione ręce założyła w tył głowy, kołysze nią w prawo i lewo, jakby stłumić chciała wrażenie, że jej mózg rozpada się w kawały. Rozchyła powieki: wzrok pada na ścianę, na obraz „Pieśń“. Krzyk szalonej nadziei:

Ryszard!... Widzisz, widzisz... tę »Pieśń«! Ryszard jest przy mnie, mamó!

»To życie nasze będzie« — on mówił — »jak pieśń«. Przysiągł, że gdyby, gdybym ja nawet... głos utraciła...

Matka zadrżała.

...To wtedy on. On »przyjdzie i weźmie w ramiona« i »przez życie poniesie... tak razem, razem...« Bo ja wszystko dla niego... wszystko mu dałam... tuli się do matki. Ryszard! Ryszard!



On jest miłość i życie, ha, ha, ha!... Nie bój się mamó, ja cię kocham, jak zawsze... teraz znów jasno... słońce... kwiaty... ha, ha, ha, ha, ha!...

— Wila! dziecko! Wila!

Pauza. Wila cichnie.

— Mówiłaś — »to wtedy być musiało«. Co być musiało, dziecino?

— Nie teraz mamó, wstała. Powiem jutro, później, Dziś spokoju: chcę śpiewać... nagle osłupiałym wzrokiem patrzy w koło. Tak, będę śpiewała, będę...

— Tak, tak, Wila. Uspokój się, spokoju. O, o, ja już jestem zupełnie spokojna, widzisz...

I może... dziś jesteś wzruszona.. może nie pojedziesz dzisiaj... Odwołać?

— Odwołać? Co odwołać matko? Tylko nic nie odwoływać!

Ja dzisiaj będę śpiewała, jak nigdy, jak nigdy jeszcze nie śpiewałam.

Idzie ku fotelowi, na którym suknia. Zastanawia się.

Dlaczego Ryszard dotychczas nie przyszedł...

Czy co mówiłaś?

Dr. ŻURAWSKI stanął w drzwiach.

— Dziwno, że Ryszarda niema dotychczas.

— Aha. Dzisiaj ja cię odwiezę do teatru Ryszard nie przyjdzie.

— Co?! Co mówisz wuju?!

— Ależ nic nadzwyczajnego. Zapomniałem wam powiedzieć.

Wyjął list, podaje siostrze. Wila wyrywa list z ręki, czyta.

— Musiał nagle wyjechać. Wróci po jedenastej, dzisiaj.

...Po jedenastej przyjadę. »Może« przyjadę!

— Dokąd wyjechał? Po co?

— Nie rozumiem go. Piszę — w sprawie nie cierpiącej zwłoki.

Wili ręka z listem biernie opadła wzdłuż ciała. Jakaś myśl... nie, nie, nie.

— Dlaczego dzisiaj... teraz... właśnie teraz!

— Wiluniu, czas ubierać się.

Automatycznie bierze suknię, odchodzi. Nagle suknię rzuciła, chwytając dłoń Żurawskiego.

Wuju! Ryszard przyjdzie?

ŻURAWSKI zbladł.

— Ależ... tak!

Wila zwraca głowę, wpatruje się w obraz. Ufność, pewność.

— On przyjdzie, wyszła.

Tańska, Żurawski — mileżą.

— Ale... dlaczego?

— Alboż ja wiem!

— Co to jest, co to wszystko znaczy? Wila, Ryszard, ty nawet!

— Tu można... oszaleć w tym domu!

— Ha, ha, ha! To prawda; tu można oszaleć w tym domu! Ale mnie już wszystko jedno. Jedno po drugim wali się nad głową, ziemia usuwa się z pod nóg. Już brakuje sił; myśl ginie, a mózg torturowany tak kurczy się i rozciąga. — Czuję: kurczy się... i rozciąga. Już braknie sił.

— Słuchaj. Te wszystkie tajemnice muszę ci powiedzieć... dziś ważny moment. Dzisiaj dla Wili, dla nas wszystkich...

— Mów, mów. Wszystko chcę wiedzieć; oddawna coś kryjesz przedemną.

— Obserwuję Wilę ciągle. Były już symptomy. Przytem jej uczuciowość, to życie wśród ciągłych wzruszeń, w tej atmosferze...

— Zlituj się, mów jaśniej.

— Dzisiaj Wila, ona dzisiaj... musi śpiewać!

— Ah! Ty dziwny jesteś. Wszak poszła ubierać się. Choć... ja sama... że ona dzisiaj... nie, nie. Błyskawiczna myśl, zrywa się. Więc tak! Jej głos?...

— Tak. Jej głos. Zdaje się, afonia na tle histerycznym.

To dla mnie tajemnica, nie wiem dlaczego, ale dziwne. Dawniej u mnie tego nie było, teraz uporczywa myśl... że przyjdzie kryzys, że... Nemezys.

— Nemezys.

— I tutaj jest dziwne powietrze. Twój mąż, Wila, ty... Tu jak zaraza; to idzie tak, sunie, jak sieć, osnuwa mózg... ja nie wiem, chyba już i ja jestem chory!

— Klątwa.

Pokojowa wbiega z listem.

— Jakiś pan... i żeby zaraz pan doktor jechał.

Żurawski rozrywa kopertę, czyta.

— Dorożka czeka.

Żurawski nerwowym ruchem zmiął list.

— W tej sekundzie.

Pokojowa wyszła.

— Nic, nic. Nieszczęście. Oczami szuka kapelusza, znalazł. Wila niech jedzie sama, albo ty ją odwieź.

— Pokaż list.

— No... nieszczęście... katastrofa.

— Nie rozumiem — list!!

— Rolle pisze, no, nie znasz go, profesor Rolle, że zaraz mam jechać. Z ambulansem. No, pociągi się zderzyły. Mam jechać z pogotowiem. Depesza.

— Ryszard... tym pociągiem...

— Nie! Zresztą nie jest niemożliwe. Bardzo możliwe. Nie wiem. — I Wili, na miłość boską, nic! Niech śpiewa, niech dzisiaj śpiewa. Wyszedł.

— Jasiu!! wybiega za bratem.

Scena pusta; drzwi otwarte. Pauza.

LELIWA, nie zamykając drzwi za sobą, wchodzi w kapeluszu. Patrzy w ziemię, idzie jak lunatyk; błądy, oczy podkrążone. Staje obok fotelu, opiera się. Tak, jakby bardzo myślał: sięść, nie sięść... Osuwa się. Głowa opadła na piersi; patrzy nieruchomo przed siebie. Wyciągnął rękę, palce kureczowo zgięte i rozłożone.

...Kula poszła w krtań. Udławił się własną krwią.

Drgającą ręką wspiera się o stół; nie zwracając głowy, wysuniętymi palcami bierze woal na stole leżący, bezmyślnie bawi się nim. Woalkę silniej palcami ścisnął, w oczach błysk. Głowę zwrocił, woal podnosi do góry, patrzy, jak gdyby nie wiedział, co to jest. Woalka wysuwa się z rąk na ziemię, on wstaje, patrzy w koło zdumiony i przerażony. Powoli zdejmuje kapelusz.

— Skąd ja się wziąłem tu? Po co, po co ja tu? Oryginalne he, he, wrażenie.

WILA cicho wchodzi. Suknia biała, włos rozpuszczony; wyszła z gotowalni. W ręce ma nuty; idzie ku fortepianowi. — Leliwa odwrócił się: urwany krzyk bez dźwięku. Cofa się ramionami wyciągniętymi w tył, szuka oparcia. Chwieje się.

A!... zobaczyła go.

On ręce wyciąga błagalnie, pochyla się wprzód, nogi dygotają. Głosem zdławionym:

— Panno Wil...

— Panie doktorze?!...

Leliwa rozwarł usta; oczy rozszerzone nowym straszcznym odkryciem. Cofa się znów; wzrok ku ziemi, słowa palące.

— Ja... ja... he, he... Po co, po co ja tu!... Nie myślałem, że się tak skończy. Oryginalne. Nie wiem, dlaczego, ale musiałem tu przyjść.

— Co to znaczy, panie doktorze?

— Chciałem panią zobaczyć, sam nie wiem dlaczego. Potem znowu nie chciałem i szedłem na stację. Nie wiem, kiedy tu wszedłem.

— Niech się pan uspokoje; co to znaczy? Proszę niech pan usiedzie.

— Nie!... — Ja nie chcę pierwszy. Za nic! ...Ona jeszcze nic nie wie!

— Co się stało, panie!

Leliwa oprzytomniał, stara się opanować. Idzie ku Wili: na ustach wybladły uśmiech.

— He, he, nic, nic szcze... gólnego. Wyjeżdżam na Spitzberg. Noc, lody, pustka, mglista cisza, zimowa martwota. Wszędzie biała śmierć...

Są ludzie, którzy istnieją po to, aby wszystko niszczyli. Czy chcą, czy nie... Niech pani tych ludzi nie przeklina. Oni sami — oni noszą w sobie śmierć. Dla innych i swoją.

He, he, jestem zdenerwowany, przepraszam panią, Eisenbahnfieber. Nie spałem od kilku... ukłon niski, powolny. Ja tylko przyszedłem pożegnać.

Wila podchodzi, podaje dłoń. Leliwa odruchowo wyciąga rękę; nagle cofnął ją: mnie kapelusz, tyłem sunie się ku wyjściu; patrzy wkoło błędnym wzrokiem.

Jadę daleko, dosyć daleko.

Patrzy nieruchomo przed siebie; milczy.

Tam, gdzie biała śmierć...

Wyszedł. — Wila sama. Bezwiednie, nie ruszając się z miejsca, podnosi nuty z ziemi. Pauza.

— Znowu tajemnice. We mnie, nademną, wkoło mnie, wszędzie... Czarne tajemnice, piekielne! Skupia myśli.

Ryszard, gdzie Ryszard? Aha. Po jedenastej przyjdzie, po jedenastej.

TANŃSKI stanął w drzwiach. Wila zachwiała się; ręka na gardło. — On ręce składa, jak do modlitwy, zbliża się pokornie schylony. — Ona, wpatrzona, szepeje ze wstrętem i bólem:

— Idzie... idzie!...

Ojciec, z dziecięcym błaganiem:

— Niech Wila... tajemnice mojego życia... niech mówi... niech Wila do sonaty mówi...

Chee rękę córki całować, ona dłoń wrywa. Na twarzy walka: nienawiść, ból, litość. Gestem odprawia służącą. Teraz ojca za rękę prowadzi

w głąb sceny. Odchodzi ku fortepianowi, w połowie drogi staje, odwraca głowę, mówi bardzo łagodnie. 13

— Wila będzie śpiewała.

Stała przy instrumencie. Patrzy przed siebie; ręka opada na klawiaturę: przypadkowy dźwięk. Ocknęła się, otwiera usta: raz wraz chwyta powietrze. — W drzwiach otwartych staje Tańska.

Wi... co... to... jest?...

Zbladła. Pięści ścisnęła; rozpaczliwe postanowienie. Śpiewa:

»Witaj spokojna nocy«... schryply, fałszywy ton.

Wila zatoczyła się w stronę matki; chwyta róg fortepianu, rozwiera usta, oczy — dyszący pół-ton:

...Skończone...

— Trucicielka! krzyknął Tański w stronę żony szorstkim, gardlanym głosem.

Wila chwiejnie podchodzi ku matce, stanęła. Cicho, jakby mówiła o czymś pół-dziwnem, pół-obojętnem, jak gdyby mówiła o kimś.

— Ma... mam... już...

Rozkłada ramiona ruchem obłąkanego zdziwienia, patrzy na ojca, na matkę. — Tańska milczy, jak martwa.

— Ryszard.. że przyjdzie.. po jedenastej... już wszystko! Matko... już.

Krok jeszcze... pochyła się całym ciałem wprzód, ramiona w powietrzu, za sekundę padnie.

Obłoczna czarna przesłona.



## SCENA Z DRAMATU.

Osoby:

HENRYK, WANDA.

Dwa pokoje: gabinet i poczekalnia. Otwarte okna wychodzą na ogród. Widać, jak deszcz pada. Jest dosyć ciemno.

WANDA siedzi na fotelu w gabinecie i w zamyśleniu bawi się brelokami. Po chwili wybucha szyderczym śmiechem, wstaje leniwie i podchodzi do lustra. Ciekawam, co on mi powie. Wyglądam, jak róża... kłania się sobie z wdziękiem, potem odchodzi od lustra, staje. Twarz jej pokrywa się bezmiernym smutkiem. Siada przy biurku i cicho płacze, ukrywając twarz w dłoni.

Do poczekalni wchodzi szybko HENRYK. Zamyka nerwowo drzwi za sobą i staje. Opanowywa go nagły strach. Oddycha ciężko. Ociera pot z czoła, ściskając je nerwowo. Potem zbliża się do ściany i ogląda jakiś gzygzak na tapecie, z ogromną uwagą wodząc po nim palcem. Wreszcie chwiejnym krokiem idzie, staje jeszcze chwilę przed drzwiami od gabinetu, popycha je drżącą dłonią przed sobą i na widok Wandy trochę przychodzi do siebie. — Tymczasem Wanda szybko otarła oczy i ma na twarzy wyraz chłodnej ironii.

HENRYK stara się uśmiechnąć: Jesteś... chrząka. Jesteś... zamyka drzwi od gabinetu na klucz.

WANDA z drażniącą ironią: Jestem. Cóż to ma być? Ho, ho, takie tajemnicze przygotowania.

HENRYK drżącymi rękami przysuwa sobie krzesło, siada. Tajemnicze przygotowania... tak... właściwie ta cała kwestya... milknie.

WANDA j. w. Cóż to za dziwna sprawa?

HENRYK: Sprawa... nie... Opiera łokcie na kolanach i twarz kryje w dłonie. W tej pozycji mówi sztucznie spokojnym, zmienionym głosem, ciężko chwytając oddech. Ja tylko chciałem z tobą pomówić o tem... że nasze życie terazniejsze... że ja... że ja nie zawsze... że moje postępowanie z tobą nie było takie... jak... nie może mówić. Wanda ma złowrogi błysk w oczach. Henryk drży jak w febrze; wreszcie, zapominając się zupełnie, bierze Wandę za rękę i szepta zdławionym, głosem: Wandziu... Wandziu...

WANDA wyrzywa mu rękę i wybucha śmiechem: Cóż to za nagłe czułości? Może się chcesz oświadczyć?!

HENRYK drgnął, a potem zapada w zupełny spokój; nie patrzy na nią. Prawda... ha, ha, ha, prawda... po długiej chwili: prawda. To, o czym ci chcę mówić, zapewne nie bardzo cię zajmie... jednakże...

WANDA przerywa: O, pod tym względem zgadłeś, zupełnie zgadłeś! 15

HENRYK cicho, wstrzymując oddech: Tak?... Może jednakże posłuchasz mnie uważniej... Ale trudno... trudno... zaciskając zęby ponuro. Cierpię za własne winy. To ja uczyniłem cię nieszczęśliwą. Moja namiętność ciąży na twojem życiu. Ale ja chciałem ci tyle wytłomaczyć i... prosić.. prosić o przebaczenie... pro sić!...

WANDA już bez uśmiechu, z zimną zawziętością: O, tego mogę ci udzielić łatwiej, niż przypuszczasz. Nie dobrze w ogólności rozumiem, o co ci chodzi. Nigdy nie uczyniłeś, nigdy nie byłeś w stanie uczynić mi nic takiego, co by mnie obeszło! Jeżeli sądzisz, że... mi jest tutaj źle, to się bardzo mylisz. Ty, czy kto inny, to mi jest obojętnem. Nudzę się! — oto wszystko. Czy masz mi jeszcze co do powiedzenia?

HENRYK śmiertelnie blady, siedzi skureczony we dwoje z wpółotwartymi ustami, które wydobywa się chrapanie. Patrzy w przestrzeń. Ręce jego zaciskają się konwulsyjnie. Po chwili wydobywa mu się z gardła coś na kształt śmiechu. Do powiedzenia... tak... o tak, mam! Ha, ha, ha! Opiera głowę na dłoni i mówi cicho do siebie: Nic niema... niema... niema... coraz wolniej, chrapliwie: wiedziałem o tem... wiedziałem o tem... głos więźnie mu w gardle. Wanda patrzy nań ze zdziwieniem i obawą. Nagle Henryk woła przyduszonym głosem, szybko i zjadliwie: Ale nieprawda, nieprawda! Bo dlaczego byś ciągle tak wszystkim dogryzała? I mnie — i matce — i Zosi? Ha! ha! Wanda wrzeszcza ramionami, wstaje i idzie ku drzwiom. Henryk tego nie widzi. Dlatego, żem cię odpychał!... żem ci nie pozwalał występować w teatrze!... żeś mnie dawniej kochała, a teraz nienawidzisz! Że się mścisz! że się mścisz! Rozumiesz? Że się mścisz! Odwraca się ku Wandzie, ale ona już stoi we drzwiach, które otworzyła. Henryk osłupiały wstaje i patrzy w nią nieprzytomnie — nagle wrywa mu się z gardła okropny krzyk: Wandziu!... Wanda wzdryga się i patrzy na niego przerażona. Henryk po dłuższej chwili chwiejnie zbliża się do niej i bierze ją łagodnie za rękę. Przepraszam cię... widzisz... ja sam nie wiem, co mówię... ale ja tak bezmiernie... ja obłądu... ja nie mogłem... Wandziu... ja cię tak kocham! ja cię tak kocham! przyciska jej rękę do ust, do oczu, do policzków. Wanda czyni mimowolny, ledwie dostrzeżalny ruch, aby tę rękę usunąć. Henryk oprzytomniał, puszcza jej dłoń i stoi oszołomiony, drżący. Ja nie mogłem... nie mogłem tak dłużej żyć... i... i... powiedziałem ci o tem... siadaj... siadaj... Wanda również oszołomiona wraca ode drzwi i siada. Jest bliską płaczu. Drżące jej ręce wykonywują ciągle ruchy nerwowe, szarpią za łańcuszek od zegarka,

16 za koronkowe rękawy. Usta otwierają się bez dźwięku, Henryk siada obok niej. Za ciebie zawsze, zawsze... zawsze... ty nie zrozumiesz... Ja ciebie tak kochałem...

Tyś się też namęczyła — jakie to wszystko straszne... Ja musiałem być dla ciebie takim — nie pytaj, nie pytaj... Ja już tak dawno chciałem wypowiedzieć tę otchłań — ty tego nie zrozumiesz... musiałem udawać. Ja nie mogłem się patrzeć na twoją miłość... Ja ciebie tak kochałem! A teraz ten kuzynek przyjeżdża... ja nie mogłem już dłużej. Przecież taka rozmowa jak teraz... prawda jakie to straszne? Sześć lat niewoli, milczenia... sześć lat, sześć lat!... Oh, ten wicher pustyni, huragan wyjący w piersiach, ta dławiąca, okropna tęsknota... nie! Oh Wandziu, twój głos... twój głos... kryje twarz w dłonie i pasuje się ze sobą w jakiejś okropnej walce. Ja uciekałem z domu!... ha, ha... ten szelest twej sukni... twoje dotknięcie, ooh... osuwa się jej do nóg, ściska je w zapamiętaniu, przykłada do nich głowę i szlocha, jak dziecko.

WANDA zrywa się przerażona, płacząca: Henryku! Henryku! próbuje go podnieść. Wstań, wstań! — Henryku, co się z tobą dzieje?! Wstań, wstań! Szlochając: Proszę cię, nie dręcz mnie! Po chwili, ciszej: Wstań, wstań... Henryku... osuwa się na krzesło bezwładnie.

HENRYK podnosi się na w pół i patrzy jej w oczy. Ona rzuca mu przerażone, przelotne spojrzenie i odwraca głowę. Henryk wstaje ciężko, chwiejąc się, jak pijany. Wstrząsa się. Siada. Długie milczenie. Wstrząsa się raz jeszcze i szepcze chrapliwie: Ja czułem... że twoje ciało jest chłodne... Milczenie. Henryk śmieje się cicho i urywa. Ale wiesz... już teraz wiesz, że ja... nie mogłem ci pozwolić występować w teatrze! To nie był kaprys, co? Ha, ha, ha. Bo ta myśl... oczy rozszerzają mu się, rozumiesz mnie? ta myśl... Chwyta się za głowę obydwoma rękami.

WANDA biorąc go za rękę przerażona: Henryku!

HENRYK nie widząc nic: Nie! Żeby ktoś cię dotykał — Kiedy ja...

WANDA wstrząsając nim: Henryku!

HENRYK patrzy na nią błędnie: Jabym go udusił jak psa... abym się pastwił... ha, ha, ha., śmieje się cicho.

WANDA wstaje, opierając się o biurko: Puść mnie... ja muszę iść...

HENRYK szorstko: Dokąd, co? spojrzawszy na nią zrywa się i chwyta ją za rękę. Wandziu, tyś tak zbladła okropnie! Ah, jestem wstrętny, wstrętny... błagam cię, jeszcze chwilę... Zapomniałem, że masz nerwy. Błagam cię, siadaj... z odcieniem ironii: Już będę spokojny... spokojny... no cóż, nie siądziesz?... Wanda na pół przy-



tomnie patrzy na niego. Henryk trzyma jej dłoń. Głos jego staje się miękki, nabrzmiały łzami i rozpaczą. Wandziu, nie odchodź! Nie wiadomo już kiedy będziemy mogli mówić. Nie dziw się tym wybuchom. Ja milczałem tak długo... No cóż, zostaniesz? Wanda uśmiecha się blade. Na chwilę tylko jeszcze, siadaj, na małą chwilę... ciągnie ją z lekka ku fotelowi, Wanda siada. Siadaj, siadaj, oh, jakaś ty dobra! Oh, teraz będziemy jak dawniej... będziemy mówić jak dawniej — dobrze? Ah, tyle lat, tyle lat żyliśmy ze sobą jak wrogowie, ale teraz... Pamiętasz jakżeśmy siadywali w altanie? Byliśmy tacy szczęśliwi, śmieliśmy się cały dzień... pamiętasz?

WANDA nie patrząc na Henryka szepeje: To tak dawno!...

HENRYK: Ah tak, tak dawno! Ja sam nie rozumiem... To wszystko mi się wydaje jakimś cudownym snem.

Wiesz, tak mi dziwnie teraz patrzeć na ciebie bez tego lęku, bez tego ukrywania się, i tak poprostu, szczerze wypowiadać wszystko. Zanadto odwykły od tego. To dla mnie prawie szczęście. Dziwne szczęście — co? Jakie to wszystko dziwne! Czuję się w jakimś wirze, w jakiejś mgłę, jakby na innym świecie. Żyłem jak pies, jak złodziej. Włóczyłem się po tych knajpach — wiesz, w Warszawie... całe noce w szulerniach... Wanda mileży. Oczy ma zakryte ręką, opartą na biurku, Henryk patrzy w nią długo z bezniernym bólem.

Jakież ja jestem naiwny! Wierzę, że dasz mi jakie słowo nadziei. Nie, nie mów, nie mów! Cóż ty możesz powiedzieć? Ty nic nie wiesz... musimy zacząć żyć na nowo... Wandziu, myśmy się tak kochali! Wanda płacze.

Wandziu, pamiętasz? Kiedyśmy tu przyjechali... Jak ci pocziwi ludzie wychodzili nas witać... I te naiwne życzenia, te tańce... Boże! to wszystko mi szumi w głowie, przewala się tam bezładnie... Widzę cię w ślubnej sukni, drżąca, ze łzami w oczach... Co się z tem wszystkim stało? Nie... mnie ogarnia jakiś obłęd! Oczy mu rozszerzają się. Pamiętasz, pamiętasz? Wandziu, co to było? Pamiętasz tę altanę? Czyśmy wtedy naprawdę siedzieli w tej altanie? Wandziu, wtedy... włosy mi wstają na głowie... patrzy w przestrzeń. Co to było, co to było... Byliśmy sami na świecie. Ta wściekła zawierucha!... Wandziu... to było straszne... Wichur szumił i świszczał, straszliwy, gorący wichur, wyl i dudnił po drzewach, porywał garściami liście, otaczał nas obłokami piasku, dymem gryzącym, wirem żaru i trzaskiem druzgotanych gałęzi... Byliśmy tacy sami, odcięci od świata! Sami na drobnej wyspie, a w koło ryczało morze... A wtedy... ha, ten dziki ślepy szal —

18 oh Wandziu, pamiętasz tę rozkosz okropną, ten ból, ten wyjący ból niesytej nigdy rozkoszy?... I zadławić go nie mogliśmy! Co to było, co to było... Jakieś pijaństwo bez dna, krwawa przepaść drgająca... wszystko znikło — i bezmiar zaczął nas wciągać w siebie. I porwały nas fale, olbrzymie ciężkie fale, niosły razem w objęciach w miękkie, ciemne otchłanie... I fale te rozszalałe, pełne oślizgłych łodyg, olbrzymich, płomiennych lilij o woni dławiącej oddech, przelewały się przez nas, oplatały nam ciało, wżerały nam się w ciała ognistymi smugami, piekącemi węzłami zaciskały nam członki, oh jeszcze silniej, oh jeszcze, bo ciała nasze z marmuru... Czuliśmy w sobie zimną, stalową, dziką siłę... Nienasyconą siłę... Byliśmy chłodni w tym żarze... lodowaci w tym ogniu.. Jakieś szaleństwo bólu, wściekłość, przepaść rozkoszy, rozpacz sprzężonych członków, zapamiętanie się, ciemność. . ciemność... nicość... ooh!...

WANDA: Henryku! Henryku!

HENRYK: Czekaj, czekaj... Ja widzę... oh, już pierzchło... Oh, Wandziu, czuję, że we mnie trzęsą się wszystkie nerwy, wszystkie żyłki... Pamiętasz, mówi coraz wolniej, z wysiłkiem chwytając oddech, jakeśmy czytali razem Horsztyńskiego?... zdawało mu się, że cierpiał!... ha, ha, ha. Wandziu, Wandziu... czy ty nie tęsknisz do tych czasów? Pamiętasz te nowelki, te moje pierwsze naiwne nowelki? Wandziu, czy życie... to straszne życie czy wyziębilo w tobie już zupełnie, zupełnie... oh nie odpowiadaj mi teraz... ja wiem, ja wiem... ale czy to na zawsze? powiedz... czy ty mi kiedy przebaczysz? Oh jaki ja jestem słaby, słaby... Wandziu, Wandziu... pochyla się ku jej dłoni opuszczonej bezwładnie i oblewa ją łzami. — Długie milczenie.

WANDA: Ty jesteś taki dziwny...

HENRYK: twarz ma wykrzywioną bólem, drgającą nerwowo. Patrzy w Wandę, jak w obraz, jest zupełnie wyczerpany. Od czasu do czasu tylko bezwiednie szepeje: Wandziu, Wandziu...

WANDA: Jakeś ty się okropnie zmienił... zakrywa oczy dłonią. Oh, gdybym ja ciebie mogła zobaczyć takim jak wtedy... Pocoś ty wywoływał te mary?... Henryku!... Oh, tyś był dla mnie wtedy taki dobry, taki wielki, taki jedyny na świecie... A potem... co to się stało? odsuwa rękę od twarzy, patrząc w przestrzeń. Ja nie mogę zrozumieć, ja nic nie pamiętam — o Boże! — nic, nic, a ty... ty — ja się boję... ja nie wiem co to jest, ale mnie chwyta taki strach, taki strach... ogląda się, patrzy na Henryka. Ja nic nie rozumiem... ja... słuchaj, więc to ty? ty? ten sam mój Henryk, mój

Geniusz, mój jedyny? Henryku... mów, mów, mów!! Oh, odejź, 19  
nie patrz tak na mnie... ja nie mogę... wstaje, ja cię nie mogę poznać.

HENRYK: Wandziu, Wandziu...

WANDA; Jaki ty masz dziwny głos! odwraca się od niego,  
odchodzi, ogląda się trwoźnie. Ah jak to dawno! Ah, jakiś ty inny,  
inny!

HENRYK wstaje i chwiejnie wlecze się za nią. Wandziu, ja  
jestem ten sam, ja cię tak kocham... ja już ci powiem wszystko,  
ja nie mogę tak żyć... nie odchodź... ja jestem taki biedny. Ja będę  
sławny, oh, ja... Wandziu, Wandziu... Szuka jej rąk, Wanda je  
usuwa. Pamiętasz... pamiętasz... osuwa się na ziemię, opierając się o po-  
ręcz fotelu.

WANDA w najwyższym przerażeniu: Henryku!

HENRYK wstaje, pada na fotel i cicho płacze. Ręce mu zwisły  
wzdłuż ciała bezwładnie. Porusza ustami bezdźwięcznie. — Słysząc  
gwałtowne pukanie. Wanda zrywa się i idzie ku drzwiom. Pukanie się  
ponawia. . . . .



## TWÓRCA.

»Jam jest żądza, co dyszy pod mgławic ogromem.  
Świetlanymi palcami tworzę bryły światów  
I najskrytszych pożądań tchnieniem nieświadomem  
Wyrzucam łąk szmaragdy i rubiny kwiatów.

I rzeźbię kształt człowieka i rozbijam gromem.  
Gaszę dzikie pragnienia krwią jego stygmatów  
I pastwiąc się bez końca nad ciałem znikomem,  
Mieczem błyskam i trony odzieram z szkarłatów!

Jam jest siła, co tworzy i niszczy wszechwładnie.  
Najtajniejszej spowiedzi wszechstworzenia słucham:  
Bez mej woli z gwiazd żadna z błękitów nie spadnie.

Wieki płyną — ja wiecznie nowym żarem bucham —  
A mędrzec tego świata ni prorok nie zgadnie,  
Jakie z jednej iskierki pożary rozdmucham.«

## SFINKS.

Jest na nieznanym brzegu świątynia daleka;  
U spiżowych podwoi Sfinks stoi na straży;  
Z niewzruszoną martwością, zda się śni, czy marzy  
O wieczystej zagadce świata i człowieka.

Tam pod jego stopami w bezdeń czas ucieka;  
Na bezkresnych odmętach płynie tłum żeglarzy:  
Ten wzrok bólem pijany utkwiał w Sfinksa twarzy,  
Ów ster rzucił i niemy przeznaczenia czeka.

A Sfinks patrzy spokojny, cichy, niezbadany.  
Wieki mu rwąca fala zimne stopy liże,  
Wieki mu pieśń rozpaczy huczą oceany,

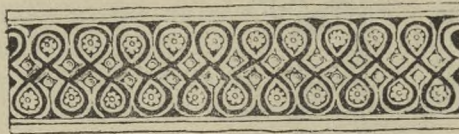
Rzucając na brzeg ciemny ciała, palmy, krzyże;  
I raz po raz wrót śmierci zatrzasną się spiże —  
A Sfinks patrzy spokojny, cichy, niezbadany.



## WIECZOREM.

Na pól obszarach kłosa zbóż  
wiszą  
w sennej martwocie,  
Ukołysane jasnych zórz  
ciszą,  
skąpane w złocie.  
Rozchwiane w obłok drżący, mdły —  
wstają  
opary czyste;  
Rusalki białe z nocnej mgły  
tkają  
szaty świetliste.  
Mistycznym źródłem w państwie mar  
biją  
fontanny senne,  
Nektar zapomnień z złotych czar  
piją  
duchy płomienne.

WACŁAW LEWIŃSKI.



Niech biegnie fala — któż z nas wie,  
Gdzie koniec jej, a gdzie początek,  
Ile w niej pereł martwych śpi,  
Ile w niej tłoczy się żyjątek?

Niech płynie życie — któż je z nas  
Przeniknął jękiem, albo śmiechem —  
Kogóż nie rodzi z wieków czas,  
Nie zwiewa w wieki śmierć oddechem?

Więc niech się tłoczy wszystko w dal —  
A słońce wiecznie świeci: —  
Nie wstrzyma kropla pędu fal,  
Ni chwila — dzieł stuleci.



## FRASZKI.

## I. WIZYTA.

— Murzyni jadą!.. Murzyni!..

Cały personal drukarni z wyciągniętymi szycjami rzuca się do okien.

— Stanęli przed bramą!.. wysiadają!..

Przy oknach robi się pusto. Wszystko pędzi na złamanie karku na pierwsze piętro, do lokalu redakcyi, gdzie już wicher ciekawości zmiótł w mgnieniu oka służące i dzieci z wszystkich trzech piątr kamienicy.

W środku największej sali biura stało rzędem pięć roślących, czarnych cór południa, z karabinami przy potężnych udach, zaledwie osłoniętych cienkim perkalikiem w białe i sine prążki, upstrzonym sznurami drobnych, białych muszelek.

Dwadzieścia sztuk tych kobiet zamorskich produkować zamierza przejezdny impressario w jednym z ogrodów publicznych. Najokazalsze egzemplarze, jak komiwojażer próbki, obwozi dla reklamy po redakcyach.

Murzynki stoją jak mur. Dokoła nich zacieśnia się coraz grubsza obręcz gapiów. Pomiędzy czarną a białą połową zebrania reporter uwija się jak fryga i paple jak nakręcony fonograf.

— Dahomejki!.. Amazonki króla Dahomeju.. — objaśnia. — Przyboczna gwardya!.. żołnierze, awansujący w miarę potrzeby na kochanki pana, a potem na żony jego sług. Jak u nas. Liczba ich: pięć tysięcy.

— Pięć tysięcy?!.. O szczęsny władco, który ich tyle posiadasz... Stokroć szczęśniejszy, że ich aż tylu potrzebujesz...

— Póki pod bronią — gwarantowane dziewice! jak babcię kocham!.. dowcipkuje reporter.

— Ale fe!.. Potrafiłyby naprawdę wytrzymać w skwarze swej ojczyzny?..

— Muszą. Wynaleziono na to sposób.

— Jaki?!.. Możeby i u nas...

— Tę, któraby się pozbyła wianka w niewłaściwym terminie, skracają o głowę.

— Za taką drobnostkę?!.. Tego nie można w cywilizowanym społeczeństwie. Padalyby głowy jak za rewolucyi francuskiej...

Ciało redakcyjne, wszyscy panowie od polityki, ekonomii, kroniki i sztuk pięknych skupili się w komplecie przed frontem

24 dziewic-rycerzy, z piórami i gazetami w ręku, z niedogasłym wątkiem przerwanych artykułów na czole myślącym, z jakimś smętnie-głupkowskim grymasem patentowanego wszechznawstwa w niewyspanych i niewytrzeźwionych należycie minach przekupniów nowin.

Zjawienie się naczelnego redaktora — niby wejście arcykapłana do świątyni, ucisza gwar i czyni wyłom w ścisku gapiów.

Na znak impressaria, jedna z amazonek wygłasza komendę i wszystkie pięć, zrównawszy się z wojskowym szykiem prezentują broń przed luminarzem zaścianka. Jakby poselstwo barbarzyńskich ludów południa składało hołd gieniuszowi oświeconej Europy. Olbrzymi efekt!..

Redaktor jednak miesza się nieco, czując się wplątany w hecę. Wyjątkowa sytuacja, zaskoczywszy go niespodzianie, budzi w jego wykwinnym umyśle wątpliwość, czy jest dość wielkim, aby się śmiesznym nie wydać w tej pantomimie. Nie wie, jak się zachować wobec tych dziwnych gości. Przyjmował już z otwartymi rękoma braci-włóścian w siermięgach, odzianych w bluzy robotników, deputacje mieszczańskie w kontuszach i wyfraczone komitety inteligencji i nie zapomniał nigdy, jak to mówią, języka w gębie. Ale te czarne, półnagie jejmościanki, których rzeźbione biusty z afrykańskim natręctwem pchają się w oczy przez rozprężone płócienko, a duże, białe zęby śmieją się napół wyzywająco, napół chytrze... Jak je traktować?... Jak kobiety?... jak dziewczki?... czy jak tresowane małpy?... I w tem niezdecydowaniu drepcąc na miejscu wśród nerwowych drgawek człowieka, którego świerzbi cała skóra, sam czyni pocieszne wrażenie zakłopotanego orangutanga.

Przez chwilę stoją tak naprzeciw siebie, ślizgając się po sobie oczyma, ci cywilizowani i te dzikie. One śmieją się bezmyślnie, wesoło, szczerze, czarne od zwrotnikowego słońca, bujne swem dzikiem zdrowiem, tęgie, mocne i czyste jak zwierzęta — dzieci natury, nie znające pudru, gorsetu, flirtu i prostytutcy, posiadające od cywilizacji tylko ten niemiecki perkal, te strzelby angielskie i ten międzynarodowy honor bawienia swym widokiem zblazowanej Europy.

Dokoła nich zaś patrzą z odcieniem litości i wzgardy — niby na dziwolągi lub zwierzęta — bladymi posępnymi oczyma dzieci, chore na skrofuły, anemię, rachitis, panowie zatruci kofeiną, nikotyną, fuzlem, jodem i rtęcią, w jegerowskich kaftanikach, z wata w uszach i z wprawianymi zębami, z szklami na oczach, z przedwcześnie łysą i osiwiałą czaszką, z reumatyzmem stawów i kata-



rami błon, z chorobami w każdej części ciała i zboczeniami wszystkich funkcji, z duszą w głębi tych ciał-czerepów wykoszlawioną przez tysiące indywidualnych i tłumowych zaślepień i kalectw, z całą paradą wiekowej kultury, która stawia ich ponad te bose, dzikie antropomorfy.

Szef-redaktor, wysłuchawszy łaskawie informacji impressaria wygłoszonych z kobiecą zalotnością, widząc dokoła siebie galeryę widzów tak liczną, odczuwa wrodzoną jednostkom wybitnym, nawykową u aktorów potrzebę zaznaczenia się, powiedzenia czegoś godnego przejść do potomności, — bo historia czeka i naród patrzy.

— Czy rozumieją po angielsku? — pyta impressaria.

— Cokolwiek. Dowodząca...

Redaktor zwraca się do amazonki-kaprała z sprężynowym dygiem dansera, który zaprasza damę do walca:

— Co panie robicie u siebie w domu?

Impressario pomaga zapytanej, w jej narzeczu, zrozumieć pytanie, czy też sformułować odpowiedź.

— Bronimy bogów i ojczyzny — odpowiada rezolutnie kobieta-żołnierz, uderzając dłonią w karabin. — A wy co robicie u siebie?..

— To samo... to samo... — odpowiada dziennikarz, wyjmując pióro z za ucha, czerwieni się — rzecz dziwna — i znika.

## II. LULU.

Codzień popołudniu widzieć go można całe lato przed domem pani.

Nieruchomy jak posąg; w królewskim przepychu kudłów czarnych i białych, w ogromnej powadze swej rasy i swego wieku odbywa sędziwy bernardyn na skraju trotoaru poobiednią siestę, wpatrzony w stronę, w którą panie poszły.

Godzinami całymi siedzi tak pod pierzastym parasolem młodej akacyi. Z otwartej paszczy zwisa mu cienki, różowy drgający język. Co pewien czas Lulu kłapnie zębami na muchę lub opędzi się ogonem, albo skwarem spędzony przeniesie się o krok dalej w cień. Zresztą zdaje się go nie obchodzić nic w świecie. Ani przyjazne zaczepki przechodniów, których jest ulubieńcem, ani lękliwe spojrzenia psów, okrążających z respektem olbrzyma, nie czynią na nim wrażenia. Jego lwi łeb, przypominający ponurą i silną maskę 70-letniego Böcklina, jego krwawe, zmęczone, owisłe ślepie, patrzą na świat z wzdurliwym chłodem stojącego nad

26 grobem mędrca, co wszystko poznał, od wszystkiego się odwrócił i czeka w pokoju śmierci.

Wieczorem dopiero, kiedy brudna, brzydka perspektywa ulicy poczyna niknąć w błękitnawej szarzyźnie letniego zmierzchu, stare psisko prostuje nagle kark, podnosi się i z godnością stuletniego burgrabi postępuje naprzód parę kroków.

To panie jego wracają ze spaceru!.. wołają nań.

Lulu podbiega, poddaje głowę pod ich białe dłonie, z przymkniętymi oczyma ociera się z rozkoszą o ich suknie i wymachując kiściastym niby pęk piór strusich ogonem, znika za niemi w bramie domu, szczęśliwy bez granic!..

### III. NIEMORALNA HISTORIA.

Kasper Burak, krawiec, mający przysłowie: »dobry robotnik zawsze znajdzie parę portek do załatania«, — spodziewał się w domu tego wieczora strasznej burzy.

Dziś rano stary kompan i przyjaciel Kajetan Wałęcki, też krawieckiego fachu, przestrzegł go: Słuchaj bracie, mam ci jeden paskudny kawałek do powiedzenia: Twoja baba wie o Ludwice, a jakże, i o dziecku też. Dowiedziała się nie wiem skąd zgrubsza a wypytała do najcińszego moją starą i teraz wie wszystko. Zbezsztalem, ma się wiedzieć, moją oślicę przeokropnie, po co paplała. ale — powiada — nie mogła zataić, bo żona twoja zaszła od serca. Mieźże się na bacności, chłopczku i ratuj się jak możesz kiedy już wiesz; bądź zdrów.

Co to będzie?..

Zwlekał z pójściem do domu cały wieczór, z braku konceptu i odwagi do wykrętów. W końcu wsunął się na palcach, po dzieśiątej, licząc na to, że będzie spała. Ale ją zastał siedzącą przy lampie, w okularach na nosie, zajętą cerowaniem, i skóra na nim ścierpła. Postać jej wydała mu się w świetle lampy dziwnie surowa. Wyraźnie czekała na niego.

Tymczasem ona, mruknąwszy najpierw zwykłym głosem łagodnego wyrzutu (bo choć niemłoda, jędzą nie była):

— Aleś się też zasiedział Kasperku... — dodała zaraz całkiem naturalnie: — Przejeżesz co? a otrzymawszy cichutką, potulną odpowiedź grzecznego chłopczyka, że niegłodny, od razu odłożyła igłę, napastrzek, bieliznę i wsparłszy rękę łokciem na stole a twarz na rękę, z oczyma wpatrzonemi w lampę z poza świecących szkieł okularów wyrzekła spokojnie i zwolna po chwili milczącej zadumy:

— Słuchaj-no Kasper, nie byłoby to lepiej, żebyś ty ją sobie do domu wziął?..

Kasper oniemiał. Wybałuszył na żonę oczy i uczuł w gębie zarazem suchość i dziwną, mdłą słodkość zdemaskowanej zbrodni.

— Bo to i taniejby kosztowało, widzisz, i w domu byś wtenczas przesiadywał i nie byłoby sekretów, udawania...

Był zdumiony aż do przestachu. Czując, że musi się przecie odezwać, szepnął cienkim, niemęzkim głosem lęku:

— To ty... wiesz?.. Margosiu?..

— A no wiem. Dowiedziałam się przedwczoraj trochę, a dziś resztę i pomyślałam se zaraz: »I po co się też z tem krył!« Przecie ja wiem, mójes ty, zem stara. Mam o sześć lat więcej od ciebie. Starąś mnie już wziął i dziś już ze mnie siwa babka a tyś jeszcze chłop do czego. Mówią mi, że to spokojne, ciche, porządne dziewczysko, więc myślę se: jak umrę, ożeniłbyś się z nią pewnie, a skorom jeszcze nie umarła, nie powinnam wam zawadzać... Ty się kryjesz, ja w głowę zachodzę, co ty za domem masz teraz tyle do roboty, trapię się, czyś się nie wziął do kieliszka albo do kart — a tutaj taka sprawa... Weźże ją do siebie i basta. Ja sobie będę babka, jak jestem, a ona ci będzie kobietą i skończyło się... Po co się ma marnić i dziecko też...

— To i o dziecku wiesz?....

— Cobym nie wiedziała. Wszystkim nam będzie wygodniej, spokojniej i nie będzie tyle kosztowało. Zawsze to co jeden dom, to nie dwa.

— Bój się Boga... kobieto... — belkotał — ady... ady ja myślałem, że ty mi... garnkiem w łeb dasz... jak się dowiesz... a ty...

— Idźże, idź. Toby dopiero był rozum i dużoby z tego mnie i tobie przyszło. A co się mamy żryć, kiedy wszystko może zostać po ludzku... Weź ją zaraz jutro, bo we czwartek pierwszego, żeby czynszu na drugi miesiąc nie płacić... Co ja mam jej złe życzyć albo ona mnie. Stało się, trudno. Ja jej będę dziecko bawić a ona się za to koło domu niech zawinie, skoro młodsza, bo mnie już ciężko, choć ta wiesz, że leniuch nie jestem.

— Bój się Boga... Margoś...

Nie wiedział, co ma gadać, co ma myśleć, co się z nim dzieje. To przechodziło jego krawieckie doświadczenie życiowe, jego wyrobione, wkorzenione, wryte jak stary mur w ziemię pojęcia o przyczynowości zdarzeń, o boskim odwiecznym ładzie świata i dusz ludzkich. Miał sobie na boku, choć żonaty, dziewczynę, kochali się, mieli nawet rocznego chłopca, — trudno, rzecz wcale naturalna, gdy liczy się dopiero trzydzieści siedm czy

28 ośm lat, gdy się posiada starszą od siebie żonę, a serce młode. Rzecz naturalna, choć wstydliva. Ale skoro się taka rzecz wyjawia, powinien stąd wyniknąć jakiś hałas, mała ruchawka, trochę klęcia, zamierzania się, obelg, nawet mała, maleńka... ot, z paroma bodaj siniakami... bitka, dla samego honoru domu i zadosyćczynienia obyczajności; jednym słowem małe piekielko, jako zasłużona kara. Tego żądało jego sumienie poczuwającego się do winy grzesznika, jego logika i poczucie sprawiedliwości. Ale nic?.. nic?!.. Żadnych wyrzutów?.. ani jednego rozbitego garnka?.. tylko taka prosta poczciwa, wspaniałomyślna, praktyczna, roztropna, zdrowa propozycja?!..

Krawiec długo nie mógł tchu złapać. Nareszcie wybuchnął:

— Wiesz?.. Wiesz Margoś?!.. Ja byłem zawsze kiep przy twoim rozumie... ale to mało, żeś ty mądrzejsza.... Ty jesteś... święta baba!... Jak Boga kocham, żebym tak zdechł, święta! co się nazywa świętości kobieta!.. Ja postąpiłem jak świnia — a ty!.. Ja nie jestem wart, żebyś ty była dla mnie taka!.. Drugaby mi przynajmniej po pysku dała a ty!.. Margoś! tak być nie może... Ja cię proszę, zlituj ty się nademną — daj mi w pysk!.. Chociaż raz!.. Bo to tak zostać nie powinno!.. Mnie tu w piersiach ściska, żeś ty tak pomyślała... w tym przypadku... jak... jak matka!... gdzie innaby dom cały do góry nogami przewróciła i wrzasku narobiła na całe przedmieście, i mnie zmieszała z błotem, i dziewczynę sponiewierała, i sam już nie wiem co...

Wyczałował jej ręce, płacząc i siąkając nos w jej fartuch, a nazajutrz sprowadził tamtę z dzieckiem do domu.

Żyją wzorowo od lat czterech w pięcioro, bo po chłopcu przyszła córka. Legalna żona każe się dzieciom nazywać »babką« i chodzi koło nich jak koło własnych wnuków, towarzyszkę swoją traktuje jak córkę, zostawiając jej wszystkie przywileje żony istotnej, pani domu. Tamta czci ją jak świętą! — a krawiec podbity przez starą, przywiązany do młodej, uszczęśliwiony dziećmi, tą matką, która nie jest matką, i tą żoną, która nie jest żoną, czuje się najszczęśliwszym z ludzi w swym małym, dziwnym świecie, urągającym dużemu a jednak uczciwym.

Co niedzielę idą całą kawalkatą na spacer. Przyłącza się do nich kulawy na jedną nogę lecz tęgi w muzyce i dowcipie Urban Klockiewicz, stary kawaler, krawiec także, z gitarą ukrytą pod połą surduta, gdzie widać ją tak dobrze, jakby ją niósł na tacy. Kasper niesie pod pachą harmonię, a na ręku mniejsze dziecko, chłopca prowadzi za rączkę »babka«, Ludwika zaś niesie kosz z prowiantami i napitkiem, i parasol. Gdzieś za rogatkami, na trawie, pod

pierwszym lepszym krzakiem, pozdejmowawszy buty z powodu odcisków i kamizelki z powodu gorąca, spędzą boskie popołudnie wygrywając fałszywie obrzydliwe melodie, jeżdżąc, pijąc i plotąc głupie i rubaszne dowcipy, które ich wprawiają w doskonały humor.

Trzy ćwierci przedmieścia, na którym mieszka Kasper, patrzą na ten skandal z oburzeniem. Kumoszki twarde w cnocie uważają kółko rodzinne Kaspra za zupełną Sodomę, jego samego za antychrysta, a obie jego żony za bezwstydnice, które lada dzień będą gonić po zaułkach. Spluwają spotkawszy kogokolwiek z tej szajki.

Nic ich to wszystkich nie dotyka. Kobiety lubią dom, nie wychylają z niego nosa, a krawiec haruje jak wół, dowcipkując przystem:

— Mam dwie baby — za dwóch chłopów muszę pracować.

#### IV. PIŁKA.

...Nakoniec książę, spoglądający raz po raz niespokojnie na zegarek, kreśli ołówkiem nerwowo pytanie na ćwiartce papieru i wskazuje ją oczyma kamerdynerowi.

Pałacowy dygnitarz nachyla się, a przeczytawszy, odpowiada zmęczonym oczom, przez które patrzy ból, gorączka i miłość z zniszczonej twarzy dogorywającego:

— Słyszać głosy księżniczek na głównych schodach.

Książę zatyka palcem srebrną skówkę na szyi, w głębi której od roku rak pożera mu krtań, aby wycharczyć:

— Chodźmy.

Opierając się na lasce i na ramieniu sługi, z chorobliwym pospiechem rusza przez pokoje. Z plafonów, ścian i posadzek blask milionów składa poddańcze hołdy temu złamanemu ciału, tej twarzy wyschłej, ziemistej, skrzywionej bólem. Śpiewa nad jego konaniem tryumfalną kantatę szczęścia, zakłętego w złoto, za które połowa ludzi go ubóstwia, druga połowa nienawidzi, a wszyscy boją się i do nóg mu płaszcą, z którego szydzi jedna tylko depcząca wszystko śmierć.

Bokiem opuściwszy pałac, by ich nie spostrzeżono, skradają się ku zakrzewionym alejom i znikają w gęstwinie. Pod osłoną krzaków dochodzą niewidzialni przed sam niemal front budowli, której lśniąca białość, obłana złotem słońca i lazurowymi refleksami niebios jaśnieje niby wizya czarodziejskiego zamku wróżek ponad soczystą zielenią trawników, wyrzucających w górę smukłe fontanny drzewek i kwiatów, dokoła zaś, stokami wzgórz splywa w falach w dolinę różnobarwna zieleń parku, gdzie kopuły starych drzew piętrzą się, kołysząc, jak ruchome gmachy.

Na słońcem zalanym tarasie u stóp pałacowych schodów bawią się dwie dziewczynki pod okiem bony. Cała dusza księcia rzuca się przez oczy z jękiem do dzieci. Widok ich w godzinie zabawy pomiędzy dwiema lekcjami stanowi codzienność jedyną, ostatnią jego rozkosz, tak zrosłą z cierpieniem, jak życie jego zrosłem jest teraz z śmiercią, której ostre szpony wbijają się w jego ciało coraz głębiej.. Przestał im się pokazywać od roku. Jak złodziej z ukrycia patrzy na własne dzieci, aby nie zamącać ich wspomnień ohydą swego kalectwa i nie narażać zdrowia ich bliskością swego rozkładu.

Pierś wznosi mu się jeszcze żywiej... Moje!.. Moje drogie! kochane!..

Ta cudowna muzyka młodych głosików.... Blask tych przedudnych ócz... Zorza tych ciałek różowych, świeżych... Anielskie widzenie niepokalania, prostoty, dobroci, świętości tych drobnych, rozkwitających dopiero istot....

Fruwają jak ptaki... Żeby która nie upadła... Świecą jak dwa cheruby w sukienkach z białego batystu... Kwitną jak dwa cudowne kwiaty! Pije je wzrokiem... oddycha nimi... modli się do nich, przytula się do nich z oddali i pożerając je rozpaczliwymi pocałunkami skazańca, przepada w niewysłowionem szczęściu posiadania tych skarbów....

Nagle wstrząśnienie szarpnęło liśćmi. Przedmiot jakiś przebiwszy gęstwiny, upadł z szelestem u stóp księcia. Lokaj schyla się, by podnieść. Ale w tej samej chwili prostuje się, ścisnąwszy zęby z bólu pod żelaznym uściskiem palców księcia, wpijających mu się w ramię. Księżę schyla się sam, podnosi z ziemi i przyciska do ust oburącz szary gumowy balonik, który zabłąkał się tutaj przypadkiem z rąk jednej z jego dziewczątek.

W chwili, gdy przerażona guwernantka uprowadzała dzieci w inną stronę, on całował piłkę, tłumiąc nią łkania swej przegnanej krtani, a z oczu płynęły mu łzy.



WŁADYSŁAW ORKAN.

### Z TEJ SMUTNEJ ZIEMI...

Na łąki, pola i ugory skalne  
Białością splywa cisza południowa;  
Ciepłe od skrzydeł roznosi powiewy,  
Po drzewach wiesz ramiona upalne  
I w cieniu jodeł skroń gorącą chowa.  
Znieruchomiały jałowce i krzewy,  
Ucichły stare, szeleszczące osty,  
Trawy bez szeptów rosną — zda się: czują  
Tę białą ciszę, idącą po ziemi...  
Jeno pajęczce muszki ówdzie snują  
Szarańczę życia i, wiszące mosty  
Na wiatr z mozolnie powikłanej przędzy  
Kładąc, nie wiedzą, że jutro, czy prędzej  
Deszcz je zatopi może razem z niemi.

Na łąki, pola i tłoki skaliste  
Płynie za ciszą spokój nieprzerwany,  
Jakieś od mogił milczenie wieczyste,  
Żałość błękitna, żal w niej zakochany  
I dziwnie rzewne jakieś zadumanie.  
Idą po ziemi i na każdym łanie

Siadają spocząć, jak spoczywa starość  
Na grobach dawnych... Gdzie spojrzeć przed siebie,  
Nic — jeno martwa i milcząca szarość,  
Nic — jeno pustka wielka, nieskończona,  
Z oczodołami utkwionymi w niebie.  
Nic nie zamąci głuszy. Czasem wrona  
Zakracze, kiedy nad tą ziemią leci  
W kraj, gdzie i ptactwu dłużej słońce świeci.

Na łąki, pola i puste zagony  
Płyną za białą południową ciszą  
Umarłe pieśni... Ludzie ich nie słyszą,  
Nie wiedzą o nich... a przedziwne tony  
Grają po trawach, szeleszczą po zbożu,  
Jak pieśzcotliwy szept dziecka przy łożu  
Umierającej matki... Gdzie dolecą,  
Tam łyzy, po liściach spadając, zaświecą,  
I lekkie w ziemi skryją się westchnienia.  
Skon południowej ciszy... Zimne drżenia  
Przechodzą polem... Kołyszą się liście  
Traw, i włosiste pochyła się zboże,  
Jakby odczuło skądś dalekie przyjście  
I włosy chciało ślać pod stopy Boże...

Wśród łąnów sennych i sennych ugorów,  
Wśród tej bezmiernej pustki i bezkresnej —  
Jakby dalekich zaświatów zjawisko,  
Nakształt mgły wiotkiej, zwiewnej, bezcielesnej,  
W otęczy sino-błękitnych kolorów  
Przepływającej ponad ziemią nizko —  
Widnieje w słońcu przeźroczyście biała  
Postać Chrystusa... Ramionami swemi  
Piersi przyciska, jakby z mogiły wstała  
I niezakrzepłe miała w sercu rany.  
Jak nędzarz świata, który na tej ziemi  
Nie ma i kąta, gdzieby głowę skłonił —  
Tak Syn człowieczy schodzi na kurhany,  
Na groby, które pył wieku osłonił,  
Na tę krainę łez i wiecznych cieni,  
Krainę smutną brzoź, jodeł i sosen,  
Gdzie głód się rodzi i owies zieleni,



A ludzie dawno zapomnieli wiosen.  
 Schodzi na pustki, ugory i niże,  
 Z wielką białością południowej ciszy,  
 Z wiecznym spokojem dusz, niosących krzyże,  
 Z umarłą pieśnią, której nikt nie słyszy.

I po tej ziemi idzie przez pustkowie  
 Martwe w dal jakąś nieskończenie wielką,  
 Za którą leży mrok... Na złotej głowie  
 Łza Matki jego zastygła kropelką  
 I błyszczy w słońcu, jak na tęczy rosa.  
 Włosy wiatr mąci... Od każdego włosa  
 Smugi się złote na ramionach kładą;  
 Bładoróżowe z nich padają zorze  
 Na twarz bolesną, wychudłą i bladą  
 I rozświetlają, jak słońce, gdy złoci  
 Białe, na liściach rozwieszono płótno.  
 Oczy anielskie, z których błyszczy morze  
 Łez i jezioro nadludzkiej dobroci —  
 Patrzą w bezkresną dal beźmiernie smutno...

Rzędem jałowce zasępienie siedzą  
 I ośniedziałe zboże się kołysze,  
 Gdy Syn człowieczy, znędzniały i bosy,  
 Wśród głuchej pustki idzie wązką miedzą.  
 Wstają ku Niemu wiatrów towarzysze:  
 Łzawa Niedola, rozpuściwszy włosy,  
 Jak siny obłok przez powierze leci;  
 Wychudła Nędza wlecze się po tłoku  
 I z niemą prośbą wyciąga swą szyję;  
 Ból się w jałowcach po za cienie kryje,  
 Lecz jęk zalata hen i ogień świeci,  
 Jak fosforyczne próchno, w jego oku.  
 A ciemna Rozpacz z wiatrem się szamoce  
 I ręce łamie nad głową i wyje,  
 Jak zawierucha pól w zaduszne noce.

Za odchodzącym w dal wołają: »Chryste!«  
 I wyciągają w przestrzeń swe ramiona,  
 Tam — gdzie mgławice kręcą się wieczyste,  
 Gdzie się poczyna Pustka nieskończona!..

...Nazajutrz, nim słońko wyszło, zerwał się Franek Rakoczy z pościeli, zarzucił biały serdak na ramiona i wypadł przed sień, na osiedle. Niedaleko była studzienka nieduża, gdzie owce pijały wodę, wracając z pastwiska. Poskoczył ku niej, nachylił się i czerpał dłońmi zimną wodę, chlustając na twarz, na oczy, na odkrytą szyję. Parskał przytem głośno, jak pławiący się w rzece młody żróbek, gdy mu się nozdrza zalewają wodą. Potem rękawem Inianej koszuli przetarł oczy i obejrzał się po świetle...

— Prześliczny ranek! Cudowny się zapowiada dzień... Trzeba wygnać owce, niech się o chłodzie napasą, bo przed południem będzie gorąc i upał słoneczny....

Nie poszedł już do izby, żeby przetwieraniem się nie zbudzić szwagra, niech się wyśpi, kiedy późno wrócił, ba ruszył prosto ku owczarni i odsunął wrota.

Wysypały się owce rozespiane — jedna za drugą. Zajął je i pognął poza izbę, na starą koniczynę.

Szły przed nim wolno siwe owce stare, córki ich wybiegały raźniej, potrząsając kędziorami skreconej welny, a jagnięta bawiły się przeskakiwaniem płotów, których nie było. Gdy stanęły na zagonie ściętej koniczyny, nie odrazu chwyciły się paszy, lecz pozierały po sobie z niedowierzaniem, oglądając się na Franka, czy ich dalej nie popędzi, czy to rzeczywiście dla nich ta przednia strawa, o której nieraz myślą na ugorze, jak o czemś bardzo słonem; bo u nich sól, to kwiat słodyczny smaku. A widząc, że ten wielki pasterz jest na nie laskawy i nie myśli gnać ich dalej na ugorne pustki, pomyślały, że dziś musi być wielkie święto, dzień, w którym wszystko wolno — i roześmiały im się oczy weselem szczęścia.

Wartko też, by nie utracić dobrej chwili, rozbiegły się i poczęły skubać listki omoczone rosą. W początku rwały skraja, nawet razem z trawą; potem już, rozwydrzone, ostawiały inne liście, prócz koniczynnych; nakoniec i to im się sprzykrzyło: wybierały tylko duże listki, pomijając mniejsze.

Stał przy nich Franek, bez odzienia prawie, i nie czuł porannego chłodu, lecz rzeźwe drganie krynicznych strumieni we wszystkich splotach żył. Czuł w sobie siłę, moc potężną życia, smreka by złamał, jak uschniętą trawę, stu chłopów mógłby przetrzucić przez dach.

Dziwił się mocno, przybaczywszy sobie, jak on to wczora włócił się, chwierutany smutkiem, przez hańte działy... Dziś by je przebiegł, jak rogacz spłoszony, po trzy zagony przeskakując naraz...

— Ale to czasem nadejdzie planeta, niby chmura, co się na pogodnem niebie urodzi z obłoków parnych, i obsiedzie mgłą duszę człowieczą i osłabi ciało doznaku.

Patrzył w doliny i widział, jak roztoki się budzą, jak się powoli rozrzedza i niknie mglista sreżoga, jak szare pola nasiakają barwami przeróżnych odcieni i zbliżają się ku niemu krajobrazy czyste, świeżości pełne i uroku. Ludzi jeszcze nie widać, ale dymy, wysnuwające się pasmami z dachów, świadczą, że już powstałi.

Obejrzał się na swoje osiedle i tu równie obaczył siny dym, wijący się leniwie, miękko, po wilgotnym dachu.

Słońce stanęło czerwonym kołem na lubomierskich szczytach, i można było patrzeć weń bez zmrużenia powiek. Zwolna kołisty ogień martwy rozpalal się w ognisko żywe i wnet buchnął płomiennym żarem, białym od skrzących skier, rozsypujących się promienisto na wszystkie strony.

Ta przemiana słonecznej tarczy, choć ją Rakoczy nieraz i dłużej oglądał z wysoko położonych polan, zastanowiła go i teraz, gdy stał, dumając, obrócony twarzą ku wschodowi.

Żywy odblask ozłocił stojącego, kładąc różowe smugi na ubiór jego pasterski, i ożywił brązowe oblicze, rzucając na nie krwawe odcienie, załamujące się ostremi liniami w jasne i ciemne płaszczyzny.

Głowa jego stała się podobną odzieniu czarnych jagniąt, kiedy wyjdą z kąpieli, a welna ich od mroźnej wody powije się w pukle i długo świeci kropelkami nieobeschłej rosy; włosy bowiem nienakryte poskręcały się swobodnie w połyskujące stałą strączki, na których kołyszają się i blyszczą ogniem górskiego kryształu niestrzepane krople studziennej wody.

Stał w krwawym blasku wschodzącego słońca, jak młody bóg pasterski, stojący posągiem na polanie uroczej wśród drzewnej zieleni i osiwiątych poranną rosą traw.

Stał pełen swobody pierwotnej, a żyłami jego szedł płomień gorącego życia, zapalając rozkwitłe siły i stusmrekową moc.

— Świecie mój, świecie! — powtarzał wkoło, nie umiejąc wypowiedzieć słowami tych pieśni, co w sercu jego dzwoniły rozgłośnie na cześć złotego słońca, na chwałę świętej ziemi.

Nigdy nie czuł się tak pewnym, że naprawdę żyje, nigdy nie czuł w sercu swoim takiej świeżej mocy, jak w tej chwili

36 porannej, kiedy słońce wstaje, kiedy ziemia przeciera oczy, wilgotne od błyszczących ros, a one iskrzą się, jak blaski precudnych kamieni.

Spojrzał w rozutki zagłębione... Obaczył jasne smugi, niby miotły ogniste związanych promieni, jak rozmiatają mgły obsiadłe nad wodą i rozgarniają mrok płowy, kosmaty, który cofa się przed niemi, przypada w rozpadliny wązkie, a znaleziony — mknie chyłkiem popod strome urwiska, czai się i posuwa ku lasowi, gdzie ma ojczysty, ciemny gmach, smrekowe świątynie.

Obaczył sady ozłoczone, jak wieńcami, przetykanymi czerwienią otoczyły osiedla zadymione. Obaczył drzewa jasionowe, osiadłe na kępach, zagony wązkie, zbożem tkane, przeróżną zielenią, która się mieni za podmuchem pieszczącego wiatru, niby równe zwierciadło zielonego stawu, załamujące światło żywe taflami złotymi. A gdy szedł wolno znużonem od blasku okiem przez błękitne pola, zdało mu się, że widzi, jak promienie słoneczne cheszą złotym grzebieniem zadzierzysty len.

— Cudowny świat! — pomyślał. — Przepiękne jego malowanie... Kto je rozumie? Kto je widzi? Ani jeden człek...

Obejrzał się po całej wsi... Nikogo! — Pochowali się w tych norach swoich, jak podziemne krety. Przywykli do tej ziemi, grzebią w niej, jak te myszy polne, szukając życia. A to życie tak niedaleko...

Poczuł rozkoszne drgnienie serca, jakby w niem odezwało się to życie, zaklęte w niem.

— Na świt! Na świt!

Jak ranny ptak w gęstwinie, tak w głębokościach serca jego śpiewało narodzone życie.

— Na świt! Na świt! — grały zbudzone pieśni dookoła.

Rósł szczęściem swobody ponad ziemię, olbrzymiał i czolem prawie sięgał ku obłokom. Poczuł w chwili tej świętej rozpętania duszy, że człowiek jest potęgą, której nic nie zmoże — nawet śmierć zdała mu się złudą, marą jakąś bezsilną, która po nocy straszy.

Niczego i nikogo w chwili tej nie pragnął, jeno serca jednego z pośród ludzi, któreby za nim szło w płomienne życie... Poniósłby owo serce nadpowietrzną drogą, jak orzeł niesie ptaszę małe, które mu na skrzydle usiedzie i z ufnością powierzy swoje życie królewskiej opiece. A jako lot orła, niosącego ptaszę słabe ku niebu, zdumiewa piskłą śmiałością swą i mocą rozpędu — tak droga

jego prędką płomiennej wędrówki zbudziłaby podziw serdeczny 37  
i wiarę ufności w sercu, które mu się powierzy na życie i śmierć.

— Niema jej tu koło mnie! — myślał z żalem — tej mojej okruszyny słodkiej...

Tęsknicą wyrывało się serce ku niej, pragnąc i wołając na próżno. Ani wie, ani słyszy, kto ją wywołuje na słońce, na polanę ową jasną, gdzie rozkosz kwitnie i życie szczęśliwemu człowiekowi gra, przedziwne pieśni gra...

— O skarby moje! Zakłęte w dusznej piwnicy, strzeżone wiernie przez te sługi, przez tych małych czeladników powszedniego życia...

Uczuł żal do niej, a do ludzi gniew. Bo zdało mu się, że widzi jagnię, które pasterz nieobaczny zapędził w cierniaki; zaplątało się niebożę i nie może wyjść. Patrzy jeno oczyma żalonymi w nieporadnym smutku.

Żeby tych ludzi można było dosięgnąć, pokarałby ich, jak tego pasterza... Ale to jagnię samo winno swojego nieszczęścia... Myślą idzie ku niemu, zbliża się powoli, a żal taje i tkliwość serce zalewa mu zwolna... Małeństwo takie...

— No czemuż-eś się zaplątało? — mówi już łagodnie, miękko i bez żalu prawie. — Co ja mam z tobą utrapienia! Kłopotcie mój...

Duma, jakby ją tu odwikłać z tej sieci niewidocznej, która może szarpaniem długim zaciągnąć się tak, że włókna ostre dostaną się w krew i zatrują to serce młode na wiek wieków.

— Bo to życie kłamliwe gorsze od bożej męki...

Wiedział o tem oddawna, patrząc się codziennie na kupiectwo świata ludzkiego.

Zwolna dumając, począł roztaczać sny zakwitłych myśli, jak roztacza się pokosy wonnych traw na łące leśnej, skoszonych dziś o rannem słońcu po rosie. I jako pasterz, bawiący przy polanem sianie, który wie, że pogoda nie zmieni się prędko, z rozkoszną niedbałością przetrząsa pokosy, a niekiedy, senny, spocznie i zanurzy się w odurzających zmysły ziołach — tak i on zwolna i leniwie roztrząsał w myślach sny tęczowe, wiedząc, że czas budowy planów nie wnet się zachmurzy.

Snuł przeróżne sposoby porwania Hanusi i uprowadzenia jej w świat nieznany, daleko od ludzi. Czy ona sama zechce, czy się zgodzi — o tem nie myślał nawet małej chwili. Wiedział, że miłując go tak bardzo, na wszystko przystanie.

— Przecie to jej zbawienie i wesele życia...

A myśląc o tem życiu z kochaną Hanusią, czuł w sobie

38 moc podwójną i siłę do walki z tą głupotą, gazdującą w narodzie biednym.

— Otrzęsie się to wszystko, jak gruszki przejrzałe. Ino drzewem ruszyć, a posypie się na ziemię osiwiwały grad... Jałowce zgnile, w cieniu wyrosnięte, nie bedziecie wy udawać życia, niech wam się nie śni!

Ani widział, zadumany, jak po trawniku miękkim od izby przytoczyło się ku niemu dziecko:

Postrzegł je dopiero, kiedy usłyszał z blizką szepleniący głos:

— To wujek pasie tak raniutko? Cie, cie...

Roześmiał się przemądrej siostrzenicy, udającej zawczasu gospodynię setną.

— Wujek pasie — powtórzył — a Marysia śpi...

— Ale! — zaprzeczyła odrazu — a kto przy wujku stoi?

— Cyganka jakaś mała, cyganeczka...

— Nieprawda! To ja!

— To ty? To ty? — dziwował się, a potem sięgnął po nią i uniósł lekko w obu dłoniach, huśtając w powietrzu.

Bardzo była temu rada, śmiała się rozkosznie i trzepotała rączkami, jak ptaszę. Ślaniała się, zataczając, gdy ją na ziemi postawił i zamiatała rosę nieobeschłą bosemi nożętami.

— Pomąciło mi się w głowie — mówiła żałośnie, by śmiech wywołać na twarz wujka, co jej się udało.

Pomknęła potem za owcami, które się porozchodziły daleko, zegnała je wartko, a wracając wolno, uważnie podnosiła stopy i szukała czegoś pilnie po ziemi. Schylała się przytem często, zrywając paluszkami liście koniczynne, ukradkiem pozierała w stronę wujka i śmiała się po cichu z oszukaństwa swego. Ostatnio zerwanego listka nie upuściła na ziemię, jak poprzednich, ale zamknęła szczelnie w dłoni, piąstki obie schowała za siebie i, zbliżając się z uśmiechem skrytym, zagadnęła wujka swego niby od niechcenia:

— Kto pierwiej znajdzie szczęście?

Rozbawiła szczerze Franka ta przebiegłość kobieca u dziecka i pomyślał sobie zaraz: — Gotuje się komuś bieda na tym świecie... oj, niemały los!

Nie chcąc jednak ploszyć prędko wesołości puste, postąpił parę kroków na zagon i, schylając się, udawał, że pilnie szuka tego »szczęścia«, a nie może znaleźć.

Marysi aż lzy w oczach stały od śmiechu i szczęśliwości wielkiej; nie mogła już wytrzymać dłużej, by nie parsknąć głośno i nie zdradzić się przed wujkiem.

— Ja już mam szczęście!..

— Pokaż!.. — zawołał z uśmiechem.

Podbiegła i, wyciągając naprzód obie skurczone pięstki, pytała się:

— W której? Niech wujek zgadnie, w której ręce szczęście?

— W tej...

— A nie!

— To może w tej...

— A nie!

Śmiała się coraz głośniej i tańczyła przed nim, podrygując na palcach. Pobłaźliwie przebaczył to niewinne kłamstwo, chciał się jednak przekonać...

— Otwórz obie ręce — powiedział.

Posłuchała i zaraz otworzyła pięstki, radując się teraz wielce jego zdumieniu. Próżne obydwie...

— Czemuś wujka cyganiła?

— Bo mam!

Patrzyła nań filuternie, przeginając się od śmiechu, jak habina wiotka. Teraz dopiero, gdy koszulka jej rozchyliła się na piersiach, wujek dojrzał szczęście — cztery listki koniczyny, przylepione wilgną rosą do niedojrzałych jeszcze gron.

Zasmuciła się, że je odkrył — i szczęście jej przysło.

Zadumał się i on, bo z tej psoty urodziły mu się dziwaczne myśli.

— Szukamy szczęścia... kłamstwo nas prowadzi... niewinne kłamstwo i pustota...





WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI.

## WSPOMNIENIE.

Dźwięki pianina, milknące w oddali  
W srebrnych mgłach nocy... Ostatnie westchnienie,  
Cisza — i wielkie nieruchome cienie  
Na jasnej światła miesięcznego fali.

»A w oczach miała święte rozmarzenie...«  
Północ. Jak dziecko, kiedy się rozżali,  
Usnęło miasto i ogród. Błysk stali...  
Krew... kilka kropel gorzkiej krwi... Wspomnienie.

Filozoficzny punkt widzenia... może...  
Wiosenne słońce... Królowa... natchnienie —  
Co więcej?.. prawda, — prawda! nowe zorze...

Jakież to śmieszne i marne — a pali,  
Żre tak jak ogień... Dziwne są te cienie  
Na jasnej światła miesięcznego fali...



## ZMIERZCH.

W smutku odpływa słońce senne  
 Za granatowe, wielkie morza...  
 Przez pola puste, szare, smętne  
 Idzie mnich czarny z krzyżem w dłoni,  
 Idzie i światła zbiera z ziemi...  
 Przez pola puste, szare, smętne  
 Idzie wieczoru ciemna zorza...

W smutku odpływa słońce senne  
 Za granatowe, wielkie morza...  
 Po starych sadach śmierć się włóczy,  
 We mgłach deszcz płacze... Deszcz się skarży  
 I monotonne psalmy śpiewa...  
 Po starych sadach śmierć się włóczy  
 Znęca wędrowców na rozdroża...

W smutku odpływa słońce senne  
 Za granatowe, wielkie morza...  
 Przez pola puste, szare, smętne  
 Idzie mnich czarny z krzyżem w dłoni.  
 Idzie i zbiera światła z ziemi...  
 Przez pola puste, szare, smętne  
 Idzie wieczoru ciemna zorza...

W smutku odpływa słońce senne  
 Za granatowe wielkie morza  
 — — — »W zaklętym zamku śpi królowna,  
 Śpi w cichej trumnie kryształowej,  
 Śni o rycerzu w jasnej zbroi...  
 W zaklętym zamku śpi królowna  
 W komnatach świeci jasność Boża...«

A tam odpływa słońce senne  
 Za granatowe wielkie morza...

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI.



## REQUIEM AETERNAM

Zewnątrz stało się wnętrzem, jawa snem, rozkosz obrzydłym jadem a ból wstrętną pijawką, co się do serca przypięła i krew z niego wysysa.

A Ty? Gdzie jesteś? Żyjesz jeszcze? Umarłaś? Nie wiem. W mózgu moim pełno przerw i tam, a pomiędzy pojedynczymi świadomymi stanami braknie połączenia przyczynowego.

A zresztą — to wszystko drobnostka, rzecz nic nie znacząca.

Teraz jedno mnie tylko obchodzi: Cóż teraz?

Ale rzeczywiście, z całą straszną grozą powagi i pewności śmierci pytam się: cóż teraz?

A jeżeli Bóg rzeczywiście istnieje? Jeżeli dusza rzeczywiście nieśmiertelna, a w jednym kościele katolickim można naprawdę osiągnąć zbawienie?

Ale brak mi wiary, wiary, wiary.

Wiara w Charcota i w boskie dopuszczenie przy opętaniu.

Wiara w Kant-Laplace i Darwina, a równocześnie w stworzenie świata w siedmiu dniach. —

Wiara w bóstwo Chrystusa i w bluźnierstwa Straussa lub Renana. —

Nie! Nie idzie — nieda się połączyć!

Niema ratunku!

Wstręt i obrzydzenie...

Gdyby dwa ogniska gangreny, wżerały się coraz bliżej ku sobie moja bezsiła, niewiara i to straszne obrzydzenie ku wszystkiemu i wszystkim, a teraz złączyły się w swem ropiącem się dziele zniszczenia.

Gdyby podziemne źródła, powstałe z ustawicznej ulewy, przeziąkają bezustannie najgłębsze pokłady mej duszy, rozsadzają i kruszą je.

Jak brutalne światło skwarne lata, zatruwają mi pokarm ziemi, w której tkwię, z której siłę moją czerpię, wysuszają i rozsadzają chlorofyl we wszystkim, co z tej ziemi bujnym kwieciami wytrysło.

I tak zmieniło złoto swą wartość na miedź, rozprysły wszystkie nadzieje, myśli i uczucia straciły swoje napięcie, stały się prostymi odruchami; pełen szczęścia i rozkoszy świat rzeczy stał się niepewnym, bezistotnym symbolem, szarą mgłą, nachuchaną na szklistą szybę — a Ty, ach Ty stałaś się piekielną córką, szatańską Lilith z głową Sfinksa, z bujną grzywą włosów, co ci głęboko w czoło wrastają i z delikatnymi szlachetnymi rysami mej matki.

I chwyciłaś mię w Twe ramiona, spętałaś mnie ciężkimi zwojami Twoich włosów, jedną ręką zerwałaś gwiazdę, że spadła, i z sykiem zatoneła w cichym Oceanie, drugą zdajesz się chwytać krańce ziemskiego globu, by mnie ponieść w kosmiczną nieskończoność, gdzie przestrzeń staje się głupim urojeniem, a czas sam siebie w ogon gryzie, bo się rozpostrzeć nie może.

I objąłem żelaznymi kleszczami Twoją szyję, wssałem się rozpalonymi ustami w Twoją pierś dziewiczą i piję z Twoich żył mleko matczyne z krwią zmieszane.

O ponieś mnie, ponieś, gdzie roztrzaskane światy błądzą samotnie i same o siebie się rozbijają.

O ponieś mnie, ponieś, gdzie gęste snopy gwiazdnych promieni w dół spływają, gdyby struny o siebie trącają i z nieskończenie cichą, drżącą, gdyby pierze edredonowe miękko harmoniją świat cały zapelniają.

Ponieś na jakiś punkt, gdzie siły przyciągające wszystkich słońc się znoszą, a ja stracę i ciężar i wagę i wszystkie stosunki do czasu, przestrzeni i środka.

Och ponieś, ponieś z skrzydły krzyżącemi radosne fanfary,  
skrzydły, co w dzikiej tęsknocie rwą się ku gwiazdom, ponieś tam,  
gdzie cała ma wielkość skurczy się w maleńki głupi atom. —

Gdzieś w bezatmosferyczne światy, gdzie kształty moje sto-  
pnieją, jak młody śnieg na południowym słońcu, gdzie się z wszech-  
światem zleję i jak lepka lawa meteoru w kosmiczny ocean  
spłynę. —

Rwij, szarp, nieś na przekór głupiemu prawu ciężaru i materii. —

Ponieś na rozkołysane morze rytmów eteru. —

Na jakąś gwiazdę o miliardy lat od ziemi odległą, gdzie mógł-  
bym spocząć, a tysiące stuleci nie dłużej żyć jak jeden moment,  
a oddalenie od ziemi nie odczuwać dalej jak ostrze dogmatu  
o protoplasmie, ostrze, na którym gdyby na różnie ziemię nasadzę  
i w słońce rzucę, by się tam z swego kału oczyścić mogła i zbawić  
w złotem Nic słonecznym.

Ale nawet tego nie zdoła — nawet w żarach słońca pozo-  
stanie plamą błota.

Tylko nieś, szarp, rzuć poprzez wszystkie krańce, bym sam  
siebie niszczyć nie potrzebował.

Jak blask światła, połamany przez tysiąc szkieł, odrzucony  
od tysiąca zwierciadeł chcę powrócić do pierwotnej idei, z której  
powstałem.

Jak promień słońca, co padł na błotną ulicę i syty i pijany  
jej brudnym ciepłem, chcę powrócić do pra-słońca, co mnie tu  
wysłało, by sobie i ludziom przynieść szczęście i radość i wielki  
pokój...

Tylko nie z powrotem do ziemi jako marny żer dla robactwa,  
do wstrętnej, ohydnej kopulacji anorganicznych i organicznych  
pierwiastków, do nowego piekielnego życia poprzez szereg głupich  
faz rozwojowych.

Jakież to straszne!

A jednak — stać się musi.

Boć tak mi stało napisane.

Teraz rozpoczyna się agonía — koniec nadchodzi.

Jakżeż to było?

Leżałem w łóżku; a w tyle głowy czułem jak gwoźdźmi  
przybitą, nieskończenie szeroką świadomość, że teraz muszę ko-  
niec zrobić.

Było, jakby w głowie mej kołował jakiś poplątany węzeł,

wirował coraz silniej, zataczał coraz wścieklejszy kręgi w strasznym pragnieniu, by się rozplątać i rozwinąć w długie, delikatne nitki myśli.

A potem naraz jak dzika fala przyływu w drganiach konwulsyi, a poprzez nią wężykowata linia chorego niepokoju, co się ku górze wila, coraz gęstsza, czarniejsza, coraz szybsza i niespokojniejsza, aż naraz uczulem jakąś dziką gonitwę, szum, jak gdyby tabun złych duchów powietrze przerywał, i jakiś nadludzki strach śmierci, w którym mózg pęka, pragnie sam przed sobą uciec i jak popękany pierścień zapadającego się świata obtańczać słońce olbrzymimi kręgi w opętanej taranteli.

I znowu cisza.

Cicha, miękka, letnia błogość. Upojona rozkosz, co się kołysała na ciemno-niebieskiej, zwiewnem złotem obszytej toni!

A naraz zgrzyt, piekło, wybuch tysiąca geyzyrów.

W głowie rozszalał się obłąkany taniec Wita i gdyby obcą siłą gwałtownie poderwany stanąłem wyprężony jak w skurczu.

Czulem, że mięśnie twarzy boleśnie się skurczyły, tak, że czulem głębokie klucie rozpalonych szpilek, a szeroką męką rozwarłe oczy zdawały się z orbit wypływać:

Stałem w rogu pokoju, z rewolwerem przy skroni i dyszałem:

Nie zrób tego, nie zrób tego! nie, nie! Na Boga nie! Tylko tego nie!

Odetchnąłem głęboko:

Boże, jakżeż można się tak przerazić, to przecież nie ja, to czarny paletot co wisiał w rogu na ścianie.

Wyciągnąłem się znowu w łóżku, strasznie wyczerpany, objąłem głowę obiema rękoma, znowu siadłem, przycisnąłem dłoń z taką siłą do skroni, że jeszcze dziś ból uczuwam.

Jakieś nieświadome, głupie skojarzenia myśli przewłóczyły się po mej głowie — owa groźna fala przyływu rozbiła i skropiła się w pojedyncze perły, co się wydłużały, jak gdyby kazano im przeciekać przez jakiś cieniuteńki otwór, widziałem krople w długich sznurach, co się raz poraz urywały — raz — dwa — trzy — cztery... a za każdą razą słyszałem, jak się rozbijały gdzieś w głębi o jakąś szklistą toń.

Jedno tylko rozlewało się błyskawicą poprzez czarną noc spienionych fal myśli:

Nie zrobisz tego!

A myśl ta poczęła łowić i wędki zastawiać w błotnistej sadzawce, wabiła tak długo, aż inna myśl wędkę pochwyciła.

Tak! a potem — potem właśnie to zrobisz!

I obydwie myśli zbliżały się coraz ku sobie, objęły się, siadły jak żmije wyprężone na ogonach, prężyły się coraz wyżej, spłotyły się — i patrzyły długo z łepkami w tył wygiętymi na siebie — patrzyły długo, przenikliwie, a potem rozśmiały się cicho ku sobie.

Spełniło się to, co mi było przeznaczonem.

Tak będę stał, tak pistolet przyłożę do skroni i tak, zupełnie tak będę krzyczał i dyszał — nie zrobisz tego! nie zrobisz tego! — a równocześnie jedno pociągnięcie: straszne światło sądu ostatecznego zatańczy mi w oczach — teraz posłyszę huk gdyby grzmot walącego się łańcucha skał w bezdenne przepaści:

Stanie się!

Drzałem na ciele jak osika, serce chciało klatkę piersiową rozbić, a w skroniach biła krew o moje dłonie w dzikich podrywach i szalach.

Niepokój wzrastał, straszliwy lęk rozszarpywał do reszty kłębek mych myśli, rozstrzępiał ich związki i połączenia gdyby nasienny pył jesiennych kwiatów na wszystkie strony, coś mnie wgniatało przemocą w poduszki, kurczyłem i gąłem się, by nie uledez temu pchaniu i nagle zerwałem się, i znowu — całkiem z sił opadłem. Wkucnąłem w siebie.

Oczy wlepiłem w podłogę bezmyślny, oszołomiony straszną pustką i nocą. To tylko wiedziałem, że muszę coś wreszcie zalać, coś do końca przemyśleć, coś, przed czem miałem śmiertelny strach.

I nagle chwyciłem oburącz krawędź łóżka: na podłodze czołgała się rozlewna jaśń światła.

Przerażenie było tak okropne, że na chwilę straciłem przytomność.

Kiedym przyszedł do siebie, zrozumiałem, że prawdopodobnie zapalono lampę w domu przeciwległej ulicy.

I rozbiegło się po mnie uczucie nieskończonego ukojenia; byłem prawie wesół.

Ale naraz pomyślałem, że dlatego jestem tak zadowolony, bo ten szeroki promień światła odwrócił i rozproszył moją uwagę, którą przecież na czemś innym, na czemś nieskończeniu strasznie skupić miałem.

Zimny pot wystąpił mi na czoło; wiedziałem, że odnowa

muszę się tej strasznej męce poddać i ta pewność wżerała się ostrym trującym językiem w mój mózg.

Teraz siadłem znękany na krawędzi łóżka, pochyliłem głowę zboląłą, ująłem ją w dłonie i myślałem, myślałem.

Uczułem bezmierną litość nad sobą samym. Gorące wielkie łzy ściekały mi z oczu. Wtedy nie wiedziałem, że płacząc — ach, cóż mnie wtedy to obchodzić mogło!

Nie płakałem łez wyzwolenia, płakałem pogrzebowym śpiewem indyjskiego kacyka, co własny grób oplakuje.

Nie wiem, jak długo tak siedziałem.

Gdym ocknął, uczułem ziębiący, lodowaty ból.

Więc stałem w pośrodku pokoju i szukałem czegoś.

Aha! Papierosa.

Zdawało mi się, że wszystko minęło.

Zapaliłem papierosa, ubrałem się, otwarłem okno i stałem długo przy oknie w nieziemskim, majestatycznym spokoju.

Nie myślałem o niczem, wyprężyłem się coraz wyżej, rósłem, potężniałem w straszliwym majestacie mego spokoju i ciszy, w groźnym, ponturem, przemożnym pragnieniu śmierci.

Jakieś dalekie wspomnienie przeszliżgło się cichem jaśnieniem przez moją głowę.

Ujrzałem się naraz w kościele wiejskim. Ponury pół-mrok. Gromnice jarzyły się tępyim blaskiem, jak płonące oczy, i napróżno starały się przedrzeć woniejące mgły kadzidła, co z trybularza w szerokich pasmach płynęły ku monstrancyi. Wżerały się do połowy w gęste tumany a potem rozlewały się i syciły mgły kadzidel jasnym złotem, tak jak pierwsze promienie słońca sycą blaskiem opary, powstające z dymiących się łąk jesiennych.

Zaraźliwa choroba wyniszczyła połowę ludności, i co wieczór zbierał się lud w kościele rzucał się na krzyż i ryczał i wył w śmiertelnych potach trwogi i rozpacz:

Od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas Panie!

A pieśń rwała się dzikim rykiem, co serce wśród bolesnych drgań z ciała wyszarpywał, to znowu w belkoczących jękach, co wszelkie słowo w krtani dławia, to znowu w stękach i rozpacznych krzykach, że żyły w mózgu pękały — i pieśń przestała być pieśnią, stała się piekielnem pragnieniem życia, olbrzymią lawiną, rozpostartą na nieskończonym obszarze, co się lada chwila stoczyć miała, stała się chmurą co już już się obrywała i cały świat potopem zalać miała.

A w tym cielesnym straszliwym refrenie: Wybaw nas Panie!

48 jęczały dzwony, ryczały strachem wielkiego sądu organy i zwierzęce rzenie konających i przerażony krzyk dzieci, — włosy dębem stawały i mózg się mącił, kirem obłądu się zakrywał.

A naraz straszny ryk płaczu, płaczu obłąkanej rozpaczy i przeraźliwej grozy — ręce gdyby las szkieletów podrzucały się ku ołtarzowi — lud śmiał się, szalał w konwulsjach płaczu, bił się pięściami w piersi, walił czołem o posadzkę i krzyczał bezustannie:

Wybaw nas Panie!

A gdy stary siwy kapłan objął ołtarz obiema rękoma, kiedy straszny kurcz płaczu rwał go na wszystkie strony, kiedy on, który z pogardą patrzył na oprawców, co go niegdyś żywcem zakopać chcieli, jęczał i bełkotał ku Bogu w obłąkanym śmiechu — wtedy naród oszalał.

Słyszę tylko dziki ryk, szatański skowyt, jakby się całe piekło rozpętało.

Zdjęła mnie straszna zgroza przed tą bolesną, przerażającą chucią ku życiu, groza przed tym konwulsyjnym strachem śmierci i bezmyślnie, w febrycznych drganiach powtarzałem bezustannie:

Wybaw nas Panie!

A ponad ludem tronował anioł śmierci z błędnym uśmiechem na ustach, straszny i okrutny — i znaczył tych, co umrzeć mieli swym płomienistym mieczem.

Czyż i ja byłem pomiędzy nimi?

A z mej krtani rwie się przemocą, bolesne, żarliwe, ostatnią iskrą życia drgające:

Wybaw nas Panie!

Pomnę: znowu przeblyskujące wspomnienie:

»Patrzę na niebo, a niebo ciche, patrzę na ziemię, a ziemia śpi ..«

Śpi ziemia, niebo tak ciche i tak głębokie i tak gwiazdami obsiane..

Niewypowiedziana cisza ujęła me serce w swe chłodne dłonie — cisza grobów i szerokich, zadumanych cmentarzy.

Była chwila, kiedy niewidzialne ręce pomazańca Bożego wyjęły Przenajświętszy Sakrament z Tabernaculum wszechnatury i pokazały go światu całemu. A świat padł na oblicze swoje w grozie i strachu; pełen oczekiwania, drżący i świętą czcią przejęty czuł, że nadchodzi tajemna chwila, w której chleb w ciało, a wino w krew się przemieni.

Teraz powinny zadzwonić dzwonki w długich odstępach po trzykroć razy, teraz powinien rozbiedz się żarliwy szmer przy-



gluszonego nabożeństwa, co serca ludu rozpiera, drżenie cudu 49  
przeniknąć świat cały, jak gdyby miliony w piersi się uderzały.

Sanctus, Sanctus, Sanctus!

I ziemia cicha, niebo zięje strumieniem srebrnego światła gwiazd i wszystko spoczywa w kornej, gluchoj ciszy, bo ja pan, który wszystko z siebie wyłonił — Ja pomazaniec, Ja arcypasterz przyjmuję ostatnią, świętą komunię.

Głęboka błogość, niebieska błogość świtów i przeczuć przyszelego życia rozlała się świętym strumieniem w mych żyłach; czułem, że skrzydła mi wyrastają, że się rozpościerają, gdyby dwa olbrzymie żagle, że rwą się do lotu — pienie oswobodzenia i tęsknoty za wieczną przyszłością, wytrysnęło z mej piersi — byłem szczęśliwy, jak słońce południa, gdy się morzem światła na niebieskie morze oceanu położy i doń się przytuli — a otóż nagle schwycił mnie obłęd w swe upiorne szpony — obłęd, z którym tak długo walczyłem.

Noc dławiała, dusiła dzień w śmiertelnych, miażdżących uściskach, krwawą czerwień zmartwychpowstania zalewała szatańska czerń potępienia.

Strach i groza prężą się, gdyby dwa węże w sól przemienione, pnące się z oddętymi cielskimi ku straszliwej sodomie nieba.

W oczach moich prysnął grad deszczu siarczanego.

Szeroka, płomienna bruzda rozdarła niebo na dwoje, jakieś słońce zagasło, spurpurowiało jak czarna, zgangrenowana rana — drży, trzęsie, obrywa się, spada i rwie za sobą cały łańcuch gwiazd.

A z rozdartego nieba widzę w obłokach siarki i ognistej lawy rozpustną twarz z przymkniętymi, mrugającymi oczyma; usta otwarte jak w krzyku najwyższej lubieży, a włosy rozwarkoczone poprzez niebo jak wściekłe komety ogniste —

A z rozdartego nieba wydzierają się kobiece ręce, straszne, bezcielesne ręce, co ku mnie się wyciągają —

I z rozdartego nieba wyrasta apokaliptyczna nierządnicą — okrąża mnie w szerokich kołach — już chwyta, obejmuje mnie, wyrrywam się, padam na ziemię, walczę, szarpię się z nią — piana krwi burzy się na moich ustach:

Astarte!

Przyszłaś po swoją ofiarę...

Na moich ustach czuję Twój lodowaty, z rozpusty splodzony pocałunek śmierci.

Tak! jestem śmierci poświęcony.

Duszo, Ty moja silna, wielka duszo, coś mi mą pleć pożała,  
gdzież jesteś teraz?

Mózgu, ty biedny, chory mózgu, coś się miał stać moim bo-  
giem, moim ojcem, gdzieżeś się ukrył, teraz, kiedy na Golgotę  
i krzyż idę? w jakąś norę się wczółgał?

Jak czarna głucha plama wisi słońce przylepione na niebie...

Eli, Eli, lama sabachthani...



## WENUS MIŁOŃSKA.

Dla niej helleńscy pieśniarze  
Przy złotostrunej cytarze  
Płomienny śpiewali psalm;  
Dziewice na jej podnóże  
Słały narcyzy i róże  
I pęki zielonych palm.

I dla niej pod kolumnadą  
Wstęgą przewijał się bładą  
Kadzideł błękitny dym;  
Z mórz dla niej słońce wstawalo,  
Aby świątynię jej białą  
Różowić promieniem swym.

Do niej przez nieba lazury  
Gołębi leciały sznury  
Na skrzydłach bielszych nad śnieg;  
Do niej o słońca zachodzie  
Z białymi żaglami łodzie  
Niosły pielgrzymów na brzeg.

I stała w blasku i chwale  
Cudna, przegięta niedbale  
Wśród marmurowych tych ścian;  
Z cichym uśmiechem na twarzy  
Słuchała morza, co gwarzy —  
Zrodzona z perłowych pian.

## NOKTURN.

Idę sam jeden pośród czarnej nocy...

Wciąż idę — nie wiem czem, ni dokąd gnany,  
A smutek na mnie głuchy i sierocy  
Wieje z tych ulic przez mgliste tumany.

Na kształt gwiazd krwawych w tęczowej oprawie  
Latarnie płoną w obręczy świetlanej,  
Drgającej we mgle, niby oka pawie.

Ulice puste, jakby kurytarze  
Więzienne... Idę w pół śnie, pół na jawie  
I spojrzeć na bok ledwie się odważę.

Bo mi się zdaje, że na każdym skręcie  
Widzę dziwaczne, nieznajome twarze,  
Które mnie wzrokiem ścigają zawzięcie.

I dalej biegnę — ale dokąd? Po co?  
Czego ja szukam w tych mroków odmęcie?  
Jakieś tęsknoty we mnie się szamocą,

Jakieś gorące bezbrzeżne tęsknoty  
Za światłem, życiem, spokojem i mocą —  
I próżno — próżno sen duszy mej złoty

Ścigam bezgwiezdą otoczony nocą...

## BYŁO... PRZESZŁO...



Było, przeszło... Jak dziś pomnę  
To słoneczne popołudnie  
I cienisty, chłodny park...  
Wody jasne i ogromne  
I łabędzie, co tak cudnie  
Śnieżnopióry gięły kark.  
Pusto było i bezludnie,  
Niebem chmury szły bezdomne,  
Tonią — cień od śpiących bark...  
Wszystko w oczach mam przytomne —  
Miną wiosny, przejdą grudnie,  
Żar palący twoich warg  
Na mych ustach nie ochłódnie,  
Nie zapomnę — nie zapomnę!...

## ODRODZINY OSTATNIEGO.

Krotochwilne poema dla teatrum kukieł.

## SCENA PIERWSZA.

Teatrum ma pokazać potężną na tysiące tysięcy mil górę stromą, co ani wejść po niej, ani zejść z niej. Na stokach porasta topazowemi dziewannami, rubinowymi ostami, szmaragdem trawy i ziół. Urwiska, wąwozy i rozdoly szumią bogactwem najdroższych kryształów. Strzelisty wierzchołek od wieków zamarły w dyament, wpatrzony w przestwór oczami, roztrąca na dwoje błękit niebieski ze szczerego turkusu i ukazuje głęboką szczelinę: ciemnię słoneczną. W szczelinie widać sploty korzeni gwiazd świecących i na pół spróchniałe, na pół zbutwiałe pnie i konary zamarłych światła — trupów. Nad nimi pieni się i luczy strumień Drogi Mlecznej. Zmurszałe a przepalone krawędzie szczeliny obrośły w mech. Nieśmiało, z lodowatą cichością suną się po nich promienie słońca, liżą skostniałe trupy słońc zamarłych, splatają się w długie krwiste pocałunki z korzeniami gwiazd żyjących. I te rosną a świecą. — Za oceanami, za morzami widać szare ugory Równi Ludzkiej. Jakowyś pomruk dochodzi aż tu do góry stromej, topazowemi dziewannami porosłej. Pomruk maszyny wielkiej, co wszystkie równie pożarła i wszystkie równie zgmiotła. Maszyna idzie wciąż, wciąż się kręci a obraca. Wokół maszyny miliony kukieł, na obraz i podobieństwo człowieka lepionych. Pracują ciągle. Starce i dzieci, męże i kobiety — w maszynę swoją, co się w Równie wpiła, patrzą, gdyby w słońce. — Na szczycie skały, na tym cyplu, co zamarł w dyament — dwa starce. Jeden leży i umiera, drugi klęczy nad nim. Na ziemi wielka rozwarta księga. Siwemi brodami starcami zrosli się z ametystami ziemicy i srebrzą się im te brody srebrem jasnej smugi. — Starszy starzec umiera, pierśmi ciężko dyszy, oczyma błądzi po wodach Drogi Mlecznej. Ziemia wolno, ale nieustannie wchłania jego ciało. Słoneczne promienie kradną mu lzy z oczu. Za chwilę zniknie zupełnie. — Starce czytają. Ten, co ginie, słucha tylko. Ten, co zostanie, czyta głośno z książki wielkiej, rozwartej.

## TEN CO ZOSTANIE:

»I nadejdzie czas, że wszystkie morza zleją się w jedno morze i wszystkie skały spiętrzą się w jedną skalę, a wszystkie równie pochłoną resztę świata i uczynią jedną wielką Równię.  
 »I ustawią na niej ludzie swoje bóstwo, bóstwo rąk swoich, rozum i rozumu swojego i czcic będą to nowe bóstwo i kłaniać mu się.  
 »A wszystko, co jest ich płaczem i wszystko, co jest ich śmiechem, radość i smutek, gorycz i wesele, ciężki ból matki przy porodzie dziecka i pierwszy uśmiech dziecka do świata: wszystko, co jest ich płaczem i weselem ich jest, stanie się bogactwem

»i radością onego bóstwa, a bóstwo będzie wszystkim, a wszystko  
 »będzie bóstwem. I zbiorą się wszystkie morza i wszystkie oceany,  
 »wody wszystkie: te, co są odwieczne i te, co z łez oczu zro-  
 »dzone — i oddzielią Równie od Skały.«

TEN CO ZGINIE.

To teraz. To dziś.

TEN CO ZOSTANIE.

»I stanie się, że Skała będzie przybytkiem ducha. A Skała  
 »będzie rosła w górę: ku słońcu. A gdy już wierzcholiskiem swo-  
 »jem nieba sklepy na dwoje roztrąci...«

TEN CO ZGINIE.

Czytaj.

TEN CO ZOSTANIE.

»...Nadejdzie chwila, że wyginą wszystkie sługi ducha i osie-  
 »rocieje Skała; a gdy już umrze przedostatni mąż ducha...«

Ten, co zostanie, podnosi głowę, w słuch się zamienia.

»...Zostanie tylko on, ostatni. Ten, co zostanie.«

TEN CO ZGINIE.

To ty.

TEN CO ZOSTANIE.

»I przyjdzie godzina, że nasiona ducha wrzucone w morza  
 »i przestworza nie wydadzą płodu — i nie stanie pod słońcem  
 »ani proroka, ani bohatera. Zamilknie Głos, a bić będą w niebiosa  
 »jeno huki młotów; rozdygoce się przestwór pomrukiem kół. I nie  
 »będzie na świecie niczego, jeno bóstwo to one i niemych miliony.  
 »Kukieł miliony«.

Z Równi idą głośnie huki młotów. Rozdygotał się przestwór pomrukiem kół.

»I rzuci Niemy kaźden pracę swoją i matkę swoją, a zapa-  
 »trzony w Skałę, co ku słońcu rośnie — morze, ocean przeplynie  
 »i... I runie ten, co został...«

To ja.

Ginący starzec zniknął już połową ciała w klejnoty ziemi. Tamten zaś  
 czyta dalej:

»A gdy kukły nad Skałą zawładną — tchu im braknie i po-  
 »marnieją. A te, co się ostoją, zapragną słońca. Ale że Skała wyżej  
 »słońcu nie wyrośnie: trza im będzie wodza, coby ich duchami  
 »w górę wiódł, coby w słońce wiódł, a sam nie omdlał. I odrodzi  
 »się taki z popielisk ostatniego, onego, co ostanie.

»A że Ostatni upadnie w morze — ocean, w wód nieskończoność: z nieskończoności się odrodzi.

»A ten, co go znajdzie, ojcem mu będzie.

»A znajdzie go ten, co pierwszy po wiekach tę księgę otworzy.

»A księgę tę weźmie ze sobą ten, co jest przedostatni: położy »na piersiach swych, utuli.«

TEN CO ZGINIE kładzie księgę na piersi swej, tuli, potem rzecze:  
Jak one szukać jej będą, kukły te! Śmieje się, księgę coraz to tuli do siebie.

Ty im nie wydasz?!

TEN CO ZOSTANIE.

Nie wydam, ojczy.

Mileżą wiek cały, lata całe.

TEN CO ZGINIE patrzy ku równiom.

A ta ci huczy... ta...

TEN CO ZOSTANIE.

...Bóstwo ich, radość ich, smutek ich.

TEN CO ZGINIE, znów się śmieje a raduje z cicha.

Będą szukały. Listka na krzu nie zostawią. Jak robaka w trawie iskać będą.

Bo tutaj na Skale wiatr wieje tęsknicą. Tęsknica im przyniesie tajemnicę słowa. I czego okiem nie ujrzą, rozumem nie ujrzą, wyszepce im wiatr.

Tęsknica im powie: szukajcie księgi ze słońca zrodzonej!

Księgę tuli a przygarnia.

Zdradzi tęsknica... zdradzi... gdy skałą zawładną.

Cały już zniknął we mgle i ziemicy. Zostały tylko oczy: patrzą na Ostatniego.

TEN CO ZOSTANIE I CO OSTATNIM JEST.

Nie wydam.

Oczy zniknęły.

I to jest scena pierwsza.



## MODLITWA ADAMA.

Homines et bestias in paradiso stupra  
novisse ac confecisse nego: Stuprum enim  
nihil est, nisi dolus naturae, ut mortem ine-  
luctabilem eludat.

*Bezimienny pisarz XVI. w.*

Ostatnie pioruny, które Eden w czeluściach ziemi grzebały i górą głazów najwyższych go przygniotły, zamilkły i zgasły. Czerwona luna, srebrem sinych błyskawic przybrana, spelzała szybko. U zachodu otworzyła się już ciemna nieskończoność nieba i mrok lać poczęła. Cień ścielił się po ziemi, po kamiennej, bezbrzeżnej pustyni: od łuny nieba chwilę złotem ciemnym polyskał na gładkich kamieniach, jak miedź stygnąca zczerwieniał, potem zrudział nagle i zczerniał. Ciała dwojga idących jasnoróżowe przybladły, zszarzały, stopiły się z mrokiem bezgwiezdny. W powietrzu żaden wiatr się nie kołysał. Czasem tylko na czoła, na piersi lub biodra wygnańców kładło się coś gorącego, lepkiego i drżąc, cofało się szybko: to ciała larw, pół-istot i pół-żywiolów trącone kurczyły się gniewnie. Wtedy pot kroplisty bił na oboje wędrowców i nieznanne dotąd, dziwne i bezimienne jeszcze drzenie strachu zbliżało i rzucało ich ku sobie. Szli milcząc. Znali tylko słowa miękkie, jak murawa, po której stąpali niegdyś, ślcwa wdzięczności i uwielbienia. Bezużyteczne głoski dławily ich w gardle. Naokół była cisza przeraźliwa. Tylko zrzadka kamień kruchy usuwał się pod stopą, z suchym trzaskiem łupał się i inne roztrącał.

Nie wiedzieli oboje, jak dawno szli i jak długo, ani dokąd iść będą. Nie wiedzieli, zali nowe słońce wejdzie i zali mrok, który ich otacza, nocą jest. Napróżno podnosili oczy ku niebu i gwiazd szukali, które godziny nocom odmierzają. Przerazone gniewem Jehowy gwiazdy zamknęły złote swe źrenice. Patrząc w niebo bezgwiezdne i obce niewiedzieli, czy Przedwieczny nie odbieżał świata i nie wypuścił go z dłoni ku zgubie; nie błagali więc, ani modlili się Bogu. Nie znając śmierci, nie pożąдали i nie przyzywali niczego. Ogień gromowy oślepił ich i wyżał im z serca tęsknotę: wspomnienie raj, blaskiem pożaru od nich odcięte świeciło nikle, jak sny, które dawniej igrały z nimi po nocach ciepłych. Z osłupienia, które ich raziło, nie ocknęli się jeszcze i szli, szli wciąż dalej, choć trwogi za nimi nie było. Szli zgębnieni i bez-

58 myślni, jak kamień staczający się z gór, podległy sile niewidzialnej, która w nim jest, a o ziemię go ciska.

Szli, i z każdym ich krokiem wślizgiwało się nowe, nieznanne znużenie. Kolana ścisnęło im szorstko, złamało kark, pociągnęło zbyt ciężkie bezwładne ramiona, żarem opaliło skórę. Potem targać jęło głębiej: zamęt jasny niby luna przeciągnął im przed oczami, tętent i szum huczał im w uszach, jak gdyby stada biegły goniąc się po bloniu. Stanęli i spojrzeli na siebie i w mroku zaświeciły im źrenice ogromną, bezgraniczną litością. Długo patrzyli na siebie nieruchomie, aż ciepły deszcz napłynął im na oczy i po licach spalonych i suchych kojącą falą się potoczył. Płakali nad sobą, nad bólem swoim, opuszczeniem i niewiedzą i czuli, jak ta rosa słona i czysta, którą lżą później nazwali, spajała ich w jedno uczuciem jednej winy, jednej niedoli i krzywdy.

I znowu iść poczęli trzymając się i pomagając sobie wzajem. Chwiali się coraz bardziej, jak suche kłosa wiatrem tręcane. Kamienie stawały się wciąż twardsze i ostrzejsze: ból przeniikliwy i rwący natężał im nogi, głowa i kark płonęły, jakby warem oblane.

A jednak szli dalej.

Wiatr zerwał się silny, gorący, podobny do rozpalonego oddechu... Wiatr groźny, niemy, przychodzący z niewiadomej czarnej dali i w czarnej dali bez szmeru znikający.

Wędrowcy szli wciąż dalej.

---

...Nagle Adam nogą gruntu miększego dotknął. Schylił się prędko i ręką ziemię pomacawszy, piasek poczuł. Zaczem z lżą na piaski owe wstąpiwszy, siadł: znużonym ich ciałom piasek za najmiększe zdał się mchy. Po chwili Adam rękami po piasku pełzać i szukać począł i wkrótce wyniosłość nieznaczną rozpoznał, a na szczycie jej kępki zieleni, trawy jakiejś twardej, lecz żywej. A wtedy radość niezmierna zdjęła ich, gdyż była to pierwsza rzecz żywa, którą od wyjścia z Edenu poczuli. I łudzić się poczęli, że może za krainą mroku ziemia znowu jako raj jest, który utracili.

Przytulili się do siebie, objawszy — i bliskością swoją chłód od siebie odpędzali. Pot, którym byli złani, stygnął teraz na nich i każdy podmuch wiatru lodowatą falą po nich przebiegał — wtedy tulili się silniej.

Zmęczenie zwolna uchodziło z nich, rozplywało i jakby wsiąkało w ziemię. Ciała ich rozciągnięte od ziemi jakby nową moc

brały. Zmysły odżywione i tyłą wrażeń rozkołysane nabyły ostrości niezwyklej. Wszystko w nich było napięte i drżące od wewnętrznego drżenia. W ciszy, która przedtem zdała się im zimna i storkość bezgłośna, łowili teraz krocie szmerów, jak gdyby szумы leśne, bzykanie owadów lub zmieszany rozhovor strumieni. Ale noc była nieprzenikliwa: nadaremnie kilkakroć wpatrywali się w nią oczami szeroko rozwartymi: tylko ciała ich zamglone szarzały niejasno. Przyciskali się więc ku sobie, w bliskości swojej szukając dla siebie pewności i schronienia od mroku.

Noc ogarniała ich i ciężkimi skrzydłami popychała ku sobie. I wtedy, gdy ciała ich spajały się w dotknięciu, czuli się bardziej blizy, bardziej żywi wśród głuszy i lęku ciemności.

Leżeli przy sobie przytuleni.

Adamowi zdawało się chwilami, że widzi iskry różnobarwne: złote, purpurowe, zielone, błękitne, jak wstęgami się rozszerzają i w kołach zaklętych tańczą. Lecz po chwili znowu ognie gasły, — aby na nowo zapalić się w źrenicach. Krew rozpalona wrzucała mu iskry do oczu i fala żaru przelewała mu się w mózgu i w uszach dzwoniła. Zdawało mu się, że burza rozpętuje się w nim szalona, jak ta, co Eden spaliła — i gromem wewnętrznym go porazi. Oczekiwanie trwożne i niespokojne ogarnęło go w duszy. Dreszcz nowy, bolesny prawie, przebiegał po nim, lecz nie omdlewał teraz w spokoju znużenia i bezsily. Ręka, którą jak ostatni ratunek obejmował towarzyszkę, straciła miękkość swego ruchu, prężyła w mięśniach i cisnęła bez czucia kobietę ku sobie. Drżące palce wpijały się w jej ciało lub przebiegały po niem, chwytając śliską jej skórę kurczowo.

Przerażony głowę na ziemi wyciągniętą od nieba niewidzialnego szarpnął, odwrócił i jak w chłodzącą krynicę twarz na szyi i piersiach kobiety zanurzył. Po ustach prześlizgnął mu się i oparzył, jakby napój czarowny ze słodczy miodowej, z woni kwietnej, z gorąca straconych promieni słonecznych spojony: przepożętny wicher życia zerwał się z uwięzi i nad ciałem jego rozszalał, jednym tchnieniem wszelką niemoc i znużenie zeń wymiółł i rozkoszą, jak pyłem ognistym osypał. Pocałunkami nieprzytomnymi wgryzać się począł w piersi i łono kobiety; serce to biło mu gwałtownie, to prężyło się i ustawało nagle; ręce silne jak konary schwyciły ją, dusiły, gniotły i jakby w zawrotną przepaść wylękłą spychały. Nagle uczuła nad sobą jakby ciężką chmurę spadającą, z której, zdało się, po krańcach iskry się kłębiły i tęcze zwiąjały, jak węże stubarwne. Chmura spadła nagle, wybuchła blaskiem

60 i podobna się stała do szybującego stosu płomieni, który ogarnął ją, przepalił i porwał w swój lot bezkresny...

Noc była ciemna. Pierwsze gwiazdy wracały na niebo.

---

Czas uciekał i ziemia pędem jego stóp tracona obracała się chyżo. Zwolna wynurzać się poczęła z mroku i różano-szarą przepaską słońce przewiązało widnokrąg. Światłość sączyła się z przepaski tej i ściekała ku dołom. Jasność rozpostarła się i chłodna jej szata wlokła się po ziemi. Od dotknięcia jej Adam ocknął się i ujrawszy światło poznał, że ziemia jest dotąd w oku Boga. Radość wypełniła mu duszę. Podniósł się na rękach i spojrzął w około.

Przy nim Ewa spała: jej włos długi, złotopłowy, rozsypany po ziemi naokoło głowy, w blask ją przystrajał. Na oczach zamkniętych cień leżał; naga, biodra miała zemknięte, ramiona bezwładnie rzucone wzdłuż ciała. I zdawało się Adamowi, że po raz pierwszy ujrzał tę, którą znał tak dawno — i uczuł, że miło jest patrzeć na nią, bo jest piękna. Adam wstał i okiem w dal rzucił; nie pamiętał, z jakiej szedł strony, lecz od wschodu, tam gdzie mógł być Eden, piętrzyły się góry niebotyczne, w mrok jeszcze od stóp spowite. Zewsząd była kamienna opoka jednostajna, daleka, od stworzeń wszelkich wolna, przerażająca... tylko ku południowi, gdzie zamykał się widnokrąg, majaczyła niepewnie zieleni traw i ciągnął się lasów błękitny kres. Adam zrozumiał, że tam jest ich droga. Był spokojny: światło wróciło mu moc i odwagę. Widząc, rozumiał, że Bóg nie porzucił ziemi i ufał Bogu.

Patrzył milcząc, to na ziemię nieprzejrzaną, obcą, ku której iść musiał, to na kamienną pustynię, która go jeszcze od niej dzieliła, to na kobietę, u stóp mu uśpioną, którą posiadał, to na niebo pogodne, seledynowo-błękitne, na szczytach wschodnich gór już promiennie-złote.

Tymczasem ziemia pochylała się głębiej i słońce krasne błysło. Promień pierwszy przeleciał po sklepieniu nieba i najdalszą zachodu głąb błękitną rozświetlił i rozżarzył. Wtedy w promieniu tym zapowiedź nowej łaski widząc, Adam wielbić począł Przedwiecznego: ...Bądź pochwalon, Boże Przedwieczny, za trud życia, któreś mi dał i za mękę śmierci nieznaną, którą mi gotujesz; za dni i nocy rozkosz i trud, iżeś mię wywiódł z obłądnych ścieżyn Edenu a dał mi poznać słodycz stworzenia twego ostatniego, któreś dla mnie uczynił, — bądź błogosławion, Przedwieczny...

ANDRZEJ STOPKA.

ŻYWCEM. *złoty*

Opowiadanie górala w Zakopanem.

Idziemy se roz do góry, śpiewający. Jaze przyślimy pod Hruby Regel. Juści napotkalimy koło Gronika kupe hraści przy drodze, a Gadeja mi tak pado:

— Wejze ze trzy gałązki i praśnij po leku na mogile, bo to tu na tem miejscu zabiło drzewo mojego kumotra z Gronika. Jeze je przed sądem boskim, to Bogze wie, cy mu Zdrowaśka, lebo i całego paciorka nie trza. Praśnijmyz po gałązce do trzeciego razu i zmówmy: »Ojcanas«, albo i »Zdrowaś«. Jakbyś Jaśku nie odmówił za umarłym tyk paciorky, to cie bedzie za to bez trzy roki tak strasyć, ze i w izbie som nie bedzies mógł usiedzieć, telo ci bedzie otukno.

Jo gałązki prasnon, paciorki odmówił, Gadeja tyz — juści położylimy pote kapeluse na głowe i poślimy dalej.

Śniegu Poniezus nie umalił i jesce dalej kurzyło, juści było go po pępek, albo jesce i wyzej, bo wiater duł, tozto sie zospy robiły.

Całe scęście było, jeze śnieg był suchy, juści slo sie nie zgorzej, jakoby w pierzynie nogami przebierał. Ino pod kyrpcami to juz strasecnie zgrzypiało i kielzko było sprawnie.

Przychodzimy na Kiry, a tu Gadeja pošlakowoł koze i pado tak:

— Jasiak, wyjmijze poleku flińcinke z rękowa i złóz jom. Ino poprzykręcoj sićkie śróbki dobrze, coby cie nie okłamała i zębów ci nie porachowała, bo wies dobrze, jeze rada kopie.

Zakiel to pedzioł, juz koze użrołek, jak se leci do góry zrębem ku Końcistej. Juści nie wiele myślący padom Gadejowi tak:

— Eę, bede ta składoł i babroł sie z tym sprzętem. Tymcase koza uńdzie. Hyćmy jom zywcem.

— Bogać ta jom łapis zywom.

— Cozby ta nie łapił.

I polecielimy za kozom. Jo przodke, a Gadeja lecioł za mnom na zadku.

Zeznoilimy sie dobrze, alek jom łapiel za zadniom noge, bo

62 w śniegu dobrze uciekać nimogła. Gadeja odpion posek i pojom jom za garło, a pote wpół, coby nie uskla.

I powiedlimy jom pote do karcmy na Kirak. Siedlimy i siedzimy i kozalimy se dać wódki. Juz duhem postawiela kacmorcina dziewczka na stole dwa półkwatki i jenimy pić na te koze.

Pijemy jeden kielusek, pijemy i drugi, je ji trzeciego cosi tapielo, kie nie zadudni cosi przed oknami.

Jo koze w ocymieniu u nogi od stołu uwięzół i lecem wartko do pola wyżreć, ki djascy tak dudniom. Wyżrolek i widzem mnohenko luda, haj. Cosi nos zdało i pedziało, jeze my koze momy, a oni na dzwierzka strasnie som jest łakomi. Ześli sie leśnicowie do izby, no i kcom nom te koze odebrać, a my to słysecy hip do ciupog. Trzymiemy za toporzyska na pogotowiu, a jo tak wołom:

— Nasa koza, bo my jom chycieli.

— Nie wasa, bo polowacki nimocie — pado nom tak jakisi brzodziaty leśnicy. Na to trza mieć na piśmie podzwoleństwo.

— Jo mom w ręcak podzwoleństwo i napisem se, jakie ino bedem kciół tem ostrzem mojej ciupazki na lbie kozdego, co sie do mnie nablizy.

— Polować nie wolno.

— Tozto my — padom — nie upolowali te koze, ale jom zywcem hycieli. Koza nasa i nie domy jej rusyć, coby nos cisto pieknie do kostecki do imentu na prag posiekali, haj. Jesce i te kąski bedom wrzescały w niebogłosy: Nie dom, nie dom. Prowda Gadeja?

— Prowda — przyświadcyl Gadeja — jele mozności bedziemy bić — i wyjom wartko, ale po cicho flincinke, co jom pod stołem był pokryjomu złożył.

Była nabito, juści odwiód kurek i cekomy tak w gotowości wseleniejakiej. Jo z ciupagom, a Gadeja z lufom.

Leśnicowie widzieli, ze niepeć, juści zeprzeli i padajom:

— E, a kieloz za te koze, hę?

— Telo, kielo i za vos. Drogo jest, bo zywo.

— Eę, coby ta tako zaś drogo. Domy wom dziesięć ryńskich siajnyk, — co było telo, co dzisiok štery papierki, haj.

A jo tak padom:

— Kie do nos po ludzku godocie, to jo wom tez po ludzku odprzeke. Kupicie butelke wina, to jom wypijemy społem i koza wasa.

— Kupimy — pedzieli leśnicowie i jeden zaroz kiwnon na kacmorke.

Tozto my to wino pili i wypili. Jo pote zapłacił jesce 63  
butelcyne, a oni tez jesce jedne i tak my sie uciesyli i oześli.

Ba, jo pote zaroz zanimóg i wylezołek sie z pół roku, bok  
se płuca przy lataniu za tom kozom przynapsuł. I juz ani nie-  
dźwiedzi smolec, ani świstoce sadło mi nie pomogąło, bok lezoł,  
jak ten Łazorz. Barz byłek hory.

Jaze ocielila mi sie krowa i obložyli mi siarom brzuk i pilek  
siare tez. Juści to mie zechłópieło. To mie zratowało. O, to mie  
zratowało godnie.



## ŚMIERĆ.

Kiedy jesień nadeszła i w lesie opadły liście a czarne kruki pokryły pola, wtedy do Bartka zawitała śmierć.

Umierać trzeba każdemu, śmierć nie straszna, ale leżeć długo to męka. I męczył się Bartek. W męce swej to zanurzał się w świecie innym, to z niego wypływał. Ale tamten świat był jakiś boleśnie-dziwny. I niczem oprzeć się nie mógł Bartek tamtemu światłu, chyba oczyma. Oczyma zmęczonemi, błyszczącemi, czepia się maluśkiego światła łuczywa, przywiązywał się do niego, trzymał się go i ciągle się obawiał, że mu zapadną powieki i że się zwali na łeb na szyję w świat nieznany.

Synowie i córki leżały przy nim na ziemi pokotem; tyle nocy nie mogli czuwać. A on trzymał się całą siłą światelka i śmierci się nie dawał. Powieki ciężkie opadły mu na oczy. Widzi na podwórzu mnóstwo małych dziewczątek: każda w rączce wiązkę kwiatów trzyma. Wszystkie patrzą ku mogile i wyglądają śmierci. A potem wszystkie na niego zwróciły oczęta. Chmura oczu błękitnych, siwych i czarnych... I ta chmura do czoła mu splywa, chłodzi je i pieści.

Oczy wytrzeszczył, chwycił żyłę na szyi palcami, bo mu pulsowała i pomyślał: Oho, aniły się przed śmiercią pokazują. Ale podczas myślenia uciekł mu ogieniek z oczu.

Pole równiutkie, szerokie, spalone słońcem. Wody prosi, drzy i chyli ziele wszelkie ku sobie, żeby się napić soków jego. A on orze i pług ledwie rękoma trzyma, bo mu pragnienie pali gardło, i woły duszą się z pragnienia, rogami ziemię ryją. Ręce mu od pluga odpadły i zwalił się na ziemię jak kłoda, a ona go na węgiel spala.

Światło łuczywa wyprowadziło go z tego świata. »Nie raz ja w polu z pragnienia umierałem. Wszystko u Boga zapisane stoi«. Tu znów się zapada w zmrok.

Na drugim końcu stołu siedzi matka nieboszczka i pieśni wyśpiewuje. Cichy i smętny głos po izbie się ściele i do niego dochodzi. Piosenka ta sama, którą mu matka w dzieciństwie śpiewała. A on płacze i serce go boli i łyż kulakiem obciera; matula śpiewają jakby prosto do serca i ból wszelki w sercu wraz ze śpiewem płacze. Matula ku drzwiom idą i z nią śpiew i męka z duszy. Znowu światelko zobaczył.



»Matula mają z tamtego świata powrócić i nad dzieckiem swoim zapłakać. Takie Bóg prawo ustanowił.«

Nogi mu drętwiały z zimna, kożuchem chciał na nie rzucić i tymczasem zgasły mu oczy.

Dzwony potężne nad nim dzwonią, brzegami głowy jego dotykają. Głowa mu pęka, zęby z ust wylatują, serca się od dzwonów odrywają, na głowę mu lecą, kalecząc.

Otworzył oczy straszne, nieprzytomne.

»Ochfiarowałem się dzwonić, żeby bił na trwogę we wsi, ale lata były chude i nigdy mi nie starczyło. Przebacz mi, Boże miłosierny!«

I znowu — stoczył się w przepaść. Z góry, z wielkiej wysokości, spadają snopy jęczmienne. Wąsy lizają mu w gębę, do gardła. Czerwonemi szpilkami palą, gromadzą się w koło serca, piekielnym żarem pieką i rzną w samiotkie serce.

Odemknął oczy już martwe i bez blasku. »Nie dawali Marcinowi jęczmienia zarobionego i ten jęczmień mnie teraz zadusi.«

Chciał zawołać na dzieci, a żeby oddały Marcinowi jęczmień, ale krzyk nie mógł się z gardła wydobyć, tylko smołą gorącą po ciele mu się rozchodził. Wywalil zczerniały język, palce wepchnął do gęby, żeby z gardła głos wydostać, ale zęby się zwały i przycisły palce. Powieki opadły ciężko.

Okna się w chałupie rozwierają, biała płachta do izby się wali, kłębi się bez końca i miary. Widno od dnia jak od słońca. Płachta go spowija jak dziecię, naprzód nogi, potem ręce i ramiona. Spowija go mocno. Lekko mu, leciutko. W głowę mu się wklebia i mózg mu łaskoce, w każdy staw się wsuwa i mięko go wyściela, wreszcie mu gardziel obwija coraz silniej, coraz mocniej. Jak wiatr koło szyi lata i obwija, obwija, obwija...

*Tłumaczył z rękopisu W. M.*

## LUDWIK SZCZEPAŃSKI.

Z „HYMNÓW“.

Żyć i czuć pełną piersią — i za młodu  
 Umrzeć. W poczuciu szczęsnem dumnej siły,  
 Zanim radośne blaski dnia się ścmyły  
 Mrokiem zachodu,  
 Zanim znużenie stygmatem naznaczy  
 Pielgrzymu w drodze samotnej, tułaczey. — —

Nie daj mi, wielki Panie, Duchu świata,  
 Wlec długi łańcuch nędzy i starości,  
 Bym czuł, jak czerw zwątlale toczy kości  
 I moc ulata,  
 A daj mi kąpać się w rozkoszy zdroju —  
 I paść wśród trudu, w szczytnym szale boju!



Z „LUNATICA“.

Dyany czystej białej  
 Łuk promienisty błyska  
 I w gęstwę leśną ciska  
 Długie srebrzyste strzały.

Bór szumne gra hejnały,  
 Zwierz pierzcha z legowiska —  
 Dyany czystej białej  
 Łuk promienisty błyska.

Lęk jakiś serce ściska,  
 Groza i chłód powiały...  
 W pomroce uroczyska,  
 Przechodzi cień wspaniały  
 Dyany czystej białej.

## HALLUCYNACYA.

Widmem przychodzisz — —

Skróś wilgotnej żłuci

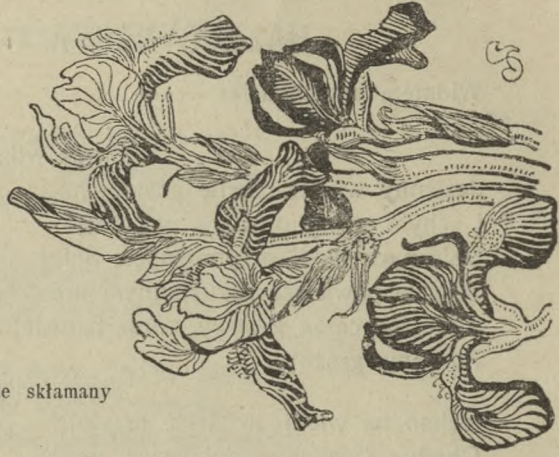
Jesienny wicher czarne psalmy nuci  
 I schyla głowy procesyi pokutnej  
 Upiornych topól przydrożnych. Śnieg z deszczem ;  
 Szarpie powietrze bezustannym dreszczem  
 Zmierzch coraz gęstszy, coraz bardziej smutny,  
 Posępny, groźny...

Skróś wilgotnej żłuci

Idziem na wieki do siebie przykuci.  
 Ohydną śniegów topniejących grudą  
 Brodzimy milcząc. Za rękę cię wiodę  
 I jeno włosy fałą złotorudą  
 Przyodziewają białą twą urodę,  
 Pierś obnażoną i skostniałe stopy.

Kędy najgłębszy wądół i roztopy,  
 Tam ciebie wiodę i czekam, azali  
 Nie zaczniesz płakać, że ciało ci pali  
 Wicher, zadymki i krzepnące błoto.  
 Napróżno czekam... Cicha stąpasz przy mnie  
 I nie wydajesz się dbać wcale o to,  
 Że ci złotawa skóra na tem zimnie  
 Pęka nieledwo i w siność obleka.  
 Czekam daremnie... usta twoje milczą  
 A za to we mnie śmiechem nie-człowieka  
 Głos jakiś w krtani ujada wciąż wilczo  
 I wściekły chwytam cię za włosów zwoje  
 I tak cię ciągnę i tak ciebie wlokę  
 Przez śnieg, kałuże, grudę i wyboje  
 I tak cię tarzam przez zasy głębokie  
 I tak przez wiklin różgi włóczę póty,  
 Póty się znęcam, depcę cię i gnioię,  
 Aż krew ci tryska z pod skóry rozprutej  
 I purpurowi królewską nagotę,  
 I wtedy dobrze mi jest i nie wstyd mię,  
 Żem nie mógł jęku dobudzić się w widmie.

## THERESITA.



»Oto jest romans życia nie skłamany  
w niczem«.

Miałam już rok piętnasty — postanowiono oddać mię na pensję — oczywiście nie chciałam o tem słyszeć; były kłótnie i lzy, błagania, próbowałam nawet raz wyskoczyć oknem, lecz nic nie pomagało.

Wywieźli mię do Francyi, zamknęli w klasztorze i — stało się... Lecz gdy się pierwszej nocy w klasztorze obudziłam... i te trzy rzędy łóżek jak w szpitalu a wszystko regularne, jak pod sznur wyciągnięte, a w każdym jak z koperty wystająca głowa — żeby choć jedna miała inną pozę! — wtedy dopiero zrozumiałam wszystko i ogarnęła mię taka rozpacz bezgraniczna, taki wstręt i bunt i złość, że w pierwszej chwili całą pościel na ziemię zrzuciłam.

To był dziecinny protest, szczegół i drobnostka — a może nie... instyktowne poczucie, że mię tam ujarzmią, że mi duszę przygniotą i do stada wliczą.

Nienawidziłam stada...

W domu bywało różnie, ale miałam przynajmniej nieograniczoną wolność — sama ją wzięłam — miałam pola, łąki, las i torfowiska, gdzie mię żadna siła ludzka ująć nie zdołała, a przede wszystkim miałam klucz od biblioteki.

Wogóle bez książek nie pojmowałam życia i w tym celu miałam nieprzebrane zasoby niezwykłego sprytu.

Czytałam oczywiście wszystko — wszystko bez wyboru, a raczej z wyborem, to, co zakazane lub o czem mówiono, że jeszcze nie zrozumieć, czytałam z zaciekłością, z tą gorączką palącą, która wszystkiego dociec, wszystko zgłębić pragnie.

A więc oprócz wszelkich możliwych powieści Szekspira, Danta, Heinego *Buch der Lieder* — Metodę Kartyzyusza i Myśli Pascala, Listy św. Pawła i Apokalipsę i nawet Don Juana jakoś ze słownikiem — ale nade wszystko w dzień i w noc Słowackiego.

I zaczęłam od... Beatrix Cenci... zresztą przypadkiem tylko... dziś zdaje mi się, nic z tego nie wiedziałam, ale to już mniejsza — to były cudne chwile, aż oddech zapierało, kiedy gdzieś wieczorem przy zachodzie słońca niebo spływało w duszę...

I w tem naraz w klasztorze, w jakiejś francuskiej dziurze, o której nikt nie słyszał...

Byłam bliska obłądę...

Dziwna rzecz — lecz do rodziców jednak nie miałam żalu, czułam w tem jakąś inną a potężną wolę, której oni tylko wykonawcami byli, czułam pozatem zemstę, czułam karę boską, bo mimo wszystko zachowałam wiarę. — Tak, wiarę silną, jak przesąd głęboką, której żadną mocą wyrwać nie zdołałam... była dzikim, pierwotnym i brutalnym strachem... wstydziło mię to i upokarzało, bo dobrze wiedziałam, że jest tylko strachem; więc robiłam wszystko, aby ją utracić: wszystkie dogmaty zuchwałą myślą poruszyłam, wszystkie wątplenia przeszłam, wszystkie ciekawości.

Napróżno... została — we krwi mi została... Burzy się bałam, grzmotów i błyskawic, bałam się ciemności, ziemię całowałam, głową pokłony biłam... I nieraz powtarzałam, aby się uspokoić:

- »Widzę, że nie jest tylko On robaków
- »Bogiem i tego stworzenia, co pełza —
- »On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,
- »A rozhukanych koni On nie kietza!«

Napróżno... słowa — słowa — słowa — czułam, że Ten, Który jest nademną, buntu nie znosi, za myśl pierwszą mści się, a każdą ciekawość jako zbrodnię karze; wiedziałam, że po każdej chwili upojenia przychodzą noce czerwonego wstydu, noce odrętwień, nieskończonej męki i oto Jego rękę poczułam na sobie, zmógł mię, pokonał — i tam zaprowadził... wiedziałam, a jednak rozpoczęłam walkę... Głuchą, zaciętą i nierówną walkę, w której prędzej czy później uleść musiałam; postanowiłam jednak bronić się do ostatka, przystosować zewnątrz, ale ducha nie dać.

Z zakonnkami załatwiłam się krótko: osądziłam je od razu z tą dziecinną pewnością jako istoty dobre, lecz ograniczone — cóż, żadna Bourgeta nawet nie czytała, a o Baudelaireze to nawet pojęcia...

Z koleżankami stanowczo poszło gorzej — razila mię ich płytkość niesłychana; przytem z natury rzeczy stykałyśmy się więcej, dokuczały mi i nienawidziły, co im z całego serca również odpłacałam. Cóż ja wogóle z niemi mogłam mieć wspólnego, chyba nieokreślone uczucie litości: one się wyśmiewały, ja patrzyłam z góry; opowiadano o mnie bajeczne historie. Między młodszymi krążyły legendy o jakimś opętaniu, mnie zaś to bawiło i nieraz w korytarzu, gdy nikt z towarzyszek nie widział, wicherzyłam włosy i zgrzytałam zębami.

Zresztą Duch na mnie wstąpił — kto tego nie przechodził, ten wiedzieć nie może — tworzyłam pierwsze dzieło, mój pierwszy poemat. . Mogłyby trzy komety nad klasztorem stanąć, mogłaby ziemia trząść się a słońce zagasnąć, mnieby to nie obchodziło, gdy rymu szukałam. Mszę całą od początku spędzałam na klęczkach; siostry były zdumione taką pobożnością, a mnie się przy organach najlepiej myślało. Był to dramat w trzech aktach i pięciu odsłonach.

Tytuł »Kainici«, obiecujący tytuł. Bohater »Tubal Kain«, reminiscencya Prometeusza do skały przykutego, w swej nadmorskiej pieczarze powalony tytan, z wydartemi oczyma, które Jehowa zgasił, by już nigdy na ogień porwany spojrzeć nie mógł. — Była para kochanków: Jubel i Noemi, odblask Lilli Wenedy; ona przędła szaty, on na harfie grywał i śpiewali hymny na cześć morza i słońca. Był też chór dzieci Bożych, strwożonych wiecznie duchów, odzianych jeno w skóry i pasących trzody, nieświadomych i gnuśnych, co skomląc ze strachem w niebo spoglądali. Oczywiście kompilacya różnorodnych wspomnień, lecz na razie nie zdawałam sobie z tego sprawy i upojona tym wzlotem fantazyi, na świat patrzyłam z »przebaczenia anielską pogardą«.

Tak minął pierwszy miesiąc: przyjechałam w maju, w czerwcu miały być rekolekcyje, mówiono o tem ciągle i to z wielką radością, ja jedna tej radości tylko nie dzieliłam, miałam nawet nieokreślone uczucie niesmaku, przekonana, że się tym razem od spowiedzi żadną sztuczką nie wykręcę.

A to była zawsze delikatna sprawa. Przynajmniej usłyszy trochę ciekawsze rzeczy, niż od tamtych owieczek — myślałam na pociechę, ale zaiste była to marna pociecha.

W wilię rozpoczęcia panowało na rekreacyi niezwykle ożywienie, skorzystałam z tego, by wymknąć się do parku.

Wieczór był cudowny... Klasztor leżał na wzgórzu, otoczony

parkiem, który tarasami schodził aż do rzeki, pełen drzew starych, bluszczu i zacisznych kaplic. 71

Chodziliśmy tam stosunkowo rzadko: kazano nam się bawić zwykle na wielkim dziedzińcu, gdzie nadzór oczywiście był wiele łatwiejszy.

Stamtąd się wysunęłam do Alei Krzyża. Lubiłam tę aleję wzniesioną wysoko; była cicha i chłodna i odosobniona. Lubiłam te stare lipy oplecione bluszczem, gdzieniegdzie poszarpane kulami armat pruskich, i w ten sposób cięte, że łącząc wierzchołki tworzyły ciemny gotycki korytarz. W jednym końcu stał krzyż olbrzymi kamienny, deszczami pokruszony, zczerniał, mchem porośły — w drugim — ławka z rozległym widokiem na rzekę. Loara wezbrowszy, rozlewała się szeroko na łąki i pola jak tylko okiem sięgnąć, i szła z ogromnym szumem potężna, wspaniała, kłębiąc się i bałwaniąc, białą pianę tocząc, a księżyc kładł się na nią srebrnymi smugami, ślizgał się po wiązaniach i arkadach mostu i oświecał na wyspie »Wieżę Cezara«, olbrzymią jeszcze z czasów Galijskich ruinę.

Tak, wieczór był cudny... tak miękki, tak cichy, pełen drgań księżycowych wśród gałęzi cienia, pełen szeptów liści i woni akacyj, a we mnie wszystko drżało jakąś nieokreśloną, bezdenną tęsknotą, co wprost swoim nadmiarem pierś rwie, rozsadza...

I nie wiem co się stało, ale płakać chciałam i cisnąć się o ziemię, i jęczeć i tarzać i wyzbyć własnej duszy i pozbyć istnienia i rozchwiać się, rozplynać, byle ten ciężar zrzucić. Prawie bezwiednie parta tą dziwną siłą, jakąś nieogarniętą targana tęsknotą chwyciłam się za drzewo w tym śmiertelnym ucisku i tuliłam, tuliłam, niby do najdroższej, najbliższej istoty.

Nagle się odwróciłam i zdrewniałam cała. O trzy kroki poza mną stał biały zakonnik...

Och gdyby mię wtedy ziemia pochłonęła, gdybym się zapaść mogła, choć skonać na miejscu...

To zderzenie krwi w mózgu, trzask skroni, kurcz serca, ten dalszy szum w każdym nerwie, gardła zadławienie — strach, strach, strach...

A on patrzył długim, smutnym, głęboko współczującym wzrokiem...

Takim wzrokiem raz Chrystus dotknął Magdaleny i wstała, do nóg padła oblewając łzami. Takim wzrokiem spojrzął na Samarytanę, kiedy przy studni wodę Życia jej zwiastował.

Taki wzrok ja wtedy uczułam na sobie i dusza mi się zgięła

72 w czerwonej wstydu męce, bo on wszystko widział, oczyma do dna sięgnął i zatargał. I staliśmy tak chwilę skuci tem spojrzeniem, może minutę, może sekund kilka, może ćwierć sekundy. Potem postąpił krokiem, dotknął zlekka ręką i rzekł bardzo cicho: »Nie bój się, nie bój dziecko...« Odszedł bardzo wolno w promieniu księżycy, aż gdzieś wśród drzew zginął... A ja długo jeszcze z zapartym oddechem stałam, patrząc za jego białą suknią bez ruchu, bez siły, wsłuchiwałam w głośne serca uderzenia i te oczy, te oczy wciąż na sobie czułam.

Wróciłam do kaplicy zataczając się prawie — nie zauważono mię. Tej nocy nie spałam. Siedziałam na łóżku skulona we dwoje, drżąc na całym ciele, wpatrywałam w noc ciemną, wciąż widząc przed sobą tę twarz bólem natchnioną, twarz piękną i smutną, o długiej czarnej brodzie, twarz wschodnią Beduina i te oczy, te oczy, co zapadły w duszę. A gdy wszystko zasnęło, w gwałtownym porywie zerwałam się nagle, chwyciłam »Kainitów«, których zawsze miałam przy sobie — rozdarłam na dwie części, a potem prędko, prędko w drobne kawałeczki. I długo płakałam... aż zmęczona łzami zasnęłam nad ranem.

Nazajutrz postanowiłam zaraz iść do spowiedzi; skoczyłam z zamkniętymi oczyma — tak, bez przytomności. Jakiś radosny szal zniszczenia mię ogarnął, aby wszystko zburzyć, wyrwać, wykończyć wszystko, co było przedtem, wszystko tamto.

I naraz ujrzałam jakby czarny wał, spiętrzony przedemną, grzechów, których poprzednio nie uświadamiałam; lecz nic mię nie trwożyło, nic nie przerażało, czułam w sobie taką moc, taką siłę, taką pełń i rozkwit życia, że choćby tysiąc razy większe były, umiałabym je zgnieść, zdeptać, zdusić i rzucić w otchłań miłosierdzia Bożego.

Mówią, że spowiedź jest ciężkiem dla natury przejściem — nie, nie, po stokroć razy nie! Dla mnie przynajmniej była duszy upragnieniem, wołana najgłębszymi serca tajnikami.

Ach te godziny... te godziny... Od rana do zmroku zanurzałam się w sobie, schodziłam w najciemniejsze mej duszy zaułki, wstrząsnęłam wszystkie prochy, wrzusiłam wszystkie męty i wstawały, pełzały nieprzeliczone tłumy win dawno zapomnianych, szeregi win dziecinnych, tak drobnych w uczynkach, olbrzymie grzechy pragnień i myśli palących — i te najtrudniejsze, te spodem nurtujące szmery przeczuć ciemnych... Wzdłuż krzyża szły dreszcze, konałam straszną męką oczekiwań. Lecz gdy nadeszła kolej... uciec,



przepaść, zginąć, potworny wstyd za gardło uchwycił, w oczach 73  
pociemniało, świat zataczał kręgi...

W kaplicy pustka: zmrok już był zupełny. Gwałtownie przypadłam do konfesyonału, rękoma kurczowo za klęcznik chwyciłam.

Stało się...

Rozdarłam duszę na tysiączne części i wyrzucałam skrwa-  
wione kawały z taką pasją zajadłą, z taką zaciekłością, z rozko-  
szą, zemstą, wściekłością.

Cierp — cierp... więcej... więcej... tak pełnemi garściami —  
wszystko... wszystko... jeszcze... — żyły wystąpiły i pot ściekał  
z czoła.

I nastąpiła cisza. Cisza, co oddech tłumi i krew w żyłach  
ścina.

— To wszystko?... — słowa padły jak kamień w próżnię  
studni.

Za całą odpowiedź kolanami się osunęłam, ciężko czołem o klę-  
cznik uderzając.

A on mówił...

A było to ciche i dobre, słodkie i smutne nieskończenie. I nie  
wiem co mówił, słów ani zdań pojedynczych nie pamiętam, tylko  
ten głos, co spływał światła jasną smugą, ten głos, co duszę tulił,  
pieścił, obejmował, jak dobry Pasterz cucił, brał w ramiona i w umę-  
czonej budził tchnienie życia.

A w tem zadrzałam. Rozwarło się coś we mnie i w rozko-  
szy jękło. Oto znów tych oczu doznałam dotknięcia.

*Ego te absolvo!*

Od tej chwili zaczęło się dla mnie nowe życie. Jak ci śre-  
dniowieczni astronomowie, których wzrok tylko na ziemi się sku-  
piał, nagle ujrzeni wszechświat nieskończony — tak i nademną  
rozwarło się niebo.

Ach jak marne, jak grube, jakżeż nieokrzesane wydały mi  
się wszystkie me pragnienia! Bo czegoż dotąd chciałam: szczęścia,  
szczęścia, szczęścia!... Teraz paliła mię wzgarda tego szczęścia,  
plomieniałam całą żądzą poświęcenia, nienasycony głód cierpienia  
szarpał. Tak — cierpieć chciałam, lecz cierpieć bez miary, wszystkie  
ciężary podnieść, przejść przez wszystkie ciernie, pograżyć się  
w noc czarną, uchylić zasłony i poznać wszystkie męki więcej,  
głębiej, wyżej... Trawiła mię gorączka nowonawróconych. Wszystko  
co wiedziałam o świętej Teresie, o błogosławionej Maryi Magda-  
lenie, postanowiłam na sobie wypróbować i więcej jeszcze, więcej...

Zaraz przyrzekłam sobie na początek żadnego pokarmu do

74 ust nie brać, odstąpiłam jednak od tego zamiaru przez wzgląd na zakonnice, które prawdopodobnieby się nie zgodziły. Inny znalazłam sposób: całe solniczki soli sypałam do potraw, gryzłam pieprz, polykałam słoiki musztardy i tak spieczonym ustom odmawiałam wody, a były skwary letnie. Trzy razy dziennie, podczas rekreacji, wymyślałam się na strych bicząc aż do krwi paskami od bluzek, które w tym celu nabiłam gwoździkami, wilałam się jęcząc i kurcząc z bólu, lecz to było niczem w porównaniu z trwogą, by mię kto nie zszedł czasem niespodzianie. Na myśl samą mdlałam. I to nie wystarczało.

Na świeże jeszcze i krwawiące rany przykładałam pokrzywy, a gdy wieczorem cisza w sypialni zaległa, zrywałam się natychmiast, krzyżem na ziemi się kładąc.

I czas mijał tak szybko, tak niespostrzeżenie... W tym szumie śpiewów, modlitw, różańców i kazań jakaś wewnętrzna siła mnie wspierała.

Wszystko łatwem się zdało...

Chodziłyśmy w południe, różaniec odmawiając, alejami parku, tuż nad brzegiem rzeki i czułam tam przed sobą na olbrzymiej wodzie skrzący pył brylantowy, czułam strugi światła, dyszące południem, drżące złotym deszczem i coś rwało się we mnie, krzyżowało pragnieniem...

Spojrzyć, spojrzeć, spojrzeć, — raz oczy nasycić... bo kochałam słońce, kochałam ten spokojny, rozległy krajobraz z smugą czarnych lasów gdzieś na horyzoncie, pełen ciężkiej zadumy i przepychu lata, kochałam ziemię, niebo, łąki i wody ogromną, głęboką miłością — jakimś kultem pogańskim, z którym teraz na wieki żegnać się musiałam.

To nie była drobnostka, przeczulenie duszy, to było ostateczne starcie łaski z naturą — *la tentation suprême* — najcięższa ognia próba.

Zwyciężyłam...

Wtedy w bezmiernem upojeniu wołałam do Boga, by prośby wysłuchał, miłości swojej stygmatem naznaczył i duszę moją wybrał i współukrzyżował, a w niepojętej dumy zaślepieniu wzywałam wszystkie moce piekielne do walki.

I w skupieniu czekałam objawienia bólu...

Tymczasem właśnie przyszła taka jasna chwila, że wprost nie śmiem słowami zmącić jej wspomnienia.

Takie to nieujęte, takie już dalekie...

Dziś zostało wrażenie błękitu i słońca, złotej monstrancyi

wśród kadzideł, dymu świec, jarzących jak gwiazdy przez oczy lez pełne, a wszystko przez mgłę białą welonu przepuszczone — — dziś zostało wspomnienie długich korowodów, panieńskich processyi z liliami w ręku, muślinów, wstęg błękitnych, szarf, drżących na powietrzu... *Ave maris Stella*, pieśń, co się w niebo niosła, skrzydlata, nieujęta, anielską radością...

Dziś... dziś...

Bo ja wtenczas doprawdy pamięć zatraciłam i miałam duszę tak cichą, tak gładką, jak staw nad wieczorem, gdy najłżejszy powiew nawet go nie trąca — odbijałam wprost niebo i koilałam się ciszą... I czułam się tak biała jak suknia i welon i przez to dziwne myśli skojarzenie instynktownie bałam się zmiąć je lub dotknąć pyłem...

Spuszczałam powieki i ze czcią najgłębszą po sobie spoglądałam, nie myśląc o pokucie... o żadnych umartwieniach... Tylko wszystkie ruchy, myśli i spojrzenia były jednym ogromnym dziękczynienia hymnem, jednym *Magnificat*, bo w istocie uczynił ze mną wielkie rzeczy.

Dopiero pod wieczór, gdy podczas Wystawienia leżałam na wpół martwa z głową, ukrytą w dłoni, dopiero, gdy ostatni dźwięk skonał powoli i w rozgrzanej kaplicy zaległa modlitw cisza — wtedy nagle taki melancholii ucisk, taki niezmierny ciężar smutku padł na duszę, że wstałam przygnieciona chmurą ciemnych przeczuć.

Zresztą nie było czasu do namysłu. Przeszliśmy zaraz do refektarza; tam miała nastąpić ostatnia konferencya, rozdanie misyjnych obrazków na pamiątkę...

Z całą wyrazistością widzę jeszcze tę chwilę...

Wtem rozstąpiły się szeregi koleżanek.

Wszedł...

I ja teraz spojrzałam na niego — ja...

Nie miałam siły myśleć, tylko przylgnęłam do niego oczyma i nie spuściłam już na chwilę wzroku.

Piłam głos jego.

Patrzyłam bez wstydu, jużbym się nigdy tak patrzeć nie umiała; patrzyłam z tą straszną odwagą rozpaczy, na śmierć, na wieki, na życie całe...

Chciałam rys każdy, każdy szczegół zapamiętać, wciągnąć, pochłonać, w źrenicy zachować, odbić na duszy, jak na białej Weroniki chuście...

A potem tylko szum w uszach, serca drzenie... szłam za innemi, wolno się posuwając, a raczej same nogi mię niosły. Zadrzałam...

76 oczy czarne zetknęły się, zwarły w ostatniem pożegnaniu, w bezgłośnym duszy krzyku.

On pierwszy głowę schylił... wargi mu zadrgały, jakby chciał coś mówić, lecz nic nie powiedział, odłożył tylko paczkę z obrazkami, wyjął swój brewiarz, wyszukał zakładkę i podał mi ją w milczeniu...

A ja do nóg paść chciałam i krzyczeć i błagać: »Nie idź, nie odchodź, nie opuszczaj jeszcze« — ale się tylko zachwiałam na nogach i przeszłam dalej, zadławiona łzami. Nie wiem, jakim sposobem znalazłam drzwi kaplicy, zaraz przy wejściu padłam na klęcznik i leżałam tam długo bez czucia.

Nagle oślepiająca jasność rozprysła się w mózgu:

On był moim Bogiem. On jeden jedyny.

Chciałam myśl stłumić, zetrzeć i w zarodku zdusić... Napróżno... z niesłychaną szybkością szerzyła się w duszy, rosła, potężniała, wierciła bólem, każdą kroplą krwi krzyczała...

On był mi Bogiem. Dla niego chciałam zostać czystą, świętą, dla niego wyższą niżli aniołowie..

On mię odrodził... On miał do mnie prawo... On jeden jedyny, mój pan i moje wszystko...

Jakiś szalony głos rozlegał się we mnie... tak jasno, tak jasno, tak jaskrawo jasno; kłula mię ta jasność, do szalu doprowadzała.

Po co te obsłonki...

Klasztor, mistyka, niebo... po co ten kram świętości... po co ta śmieszność złudy...

Zawsze jedno, to samo...

I krzyk buntu rwał się, krzyk strasznej świadomości: bluźnierstwo... świętokradztwo... Zmazać, stłumić chciałam... daremnie... daremnie...

Nie było już litości, nie było zmiłowania...

Boże zmiłuj się nademną...

Już nic nie widziałam w tym śmiertelnym ucisku, rzuciłam się na krucyfiks i słów nie znajdując, rozdarłam gwoździem usta.

O nie — nie — to było strasznie — o nie, dziś wierzyć nie chcę... gorące ciało pod wargami czułam... gorące, żywe ciało... stopy bose...

Skoczyłam odrzucona, w tył szarpnięta siłą, skręcona, potwornym zadławiona spazmem. »Ty jeden się ulituj, przyjdź, zmiłuj nademną...«

Nie wiem, jak uciekłam z kaplicy, by przynajmniej miejsca świętego nie kalać; instynktownie zawlokłam się do Alei Krzyża...

Iść już wprost sił nie miałam, czołgałam się na rękach... do drzewa, gdzie go pierwszy raz ujrzałam i całowałam ślady... nawet już płacz mię nie wstrząsał, tylko łez strumienie płynęły z ocz... wsiąkały w piasek ..

A potem świętokradztwo, grzech, piekło, potępienie... wszystko zobojętniało, wszystko w dal się zasunęło...

Została tęsknota. Tęsknota, co duszę na krzyżu rozciąga, poi się i syci ciekącym z serca krwi promieniem, i w jałowej męczarni nowe rozkosze wije, — takie uczucie wprost fizycznego bólu, tak jakby kto serce na tarce obrócił i wszystkie rozdarte miejsca krew sączyły.

I ta otchłań niemocy, ta beznadziejność pustki... To nigdy... nigdy... nigdy...

Och, gdyby przynajmniej tak wiecznie pozostać... gdyby tak cierpieć bez miary, bez końca...

Lecz i to przeminie...

Wszystko zapomnieć można, wszystko przepływa w ciemnie i w nicości tonie... czas tylko wiecznie nieruchomy czeka...

Morze bez końca, bezplodne i puste, morze szaroty nakryło mię i chlonie miłość i szczęście i rozpacz i ból ..

Boję się... boję...

Ty, który mię stworzyłeś, zlituj się nademną.

*O Cruce ave spes unica!*



KAZIMIERZ TETMAJER,

## TYTAN.

Tytan wstał rano. Las, co od świetlistych ros drży  
W rannym wietrze: woń świeżą posłał mu do nozdrzy,  
Pod nogą czuł drgającą życiem ziemi bryłę.  
I uczył w sobie żądzę, uczył moc i siłę,  
Jaką czuł Czas, gdy z woli wszechwładnego Losu,  
Bogów, gwiazdy i ludzi utworzył z Chaosu.

Życie nad nim otwarte trzymało ramiona,  
Jak dziewczyna, pragnieniem miłosnem zwalczona.  
Wzniósł głowę: oko jego, jak orzeł przegania —  
Odetchnął, pierś rozprężył: zda się — niebo wchłania.

Las się od ros świetlistych srebrzył, drząc na wietrze  
I zwiślały oliwne gałązki ku ziemi,  
Świecąc tłustym owocem i liśćmi lśniącemi.  
Zbudziły się narcyzy, pereł szronu bledsze,  
I wonny gaj różany, gdzie czerwone kwiaty  
Spojrzały w niebo. Gwiazdy, jasne nieba róże,  
Gasły jedne po drugich, a na chmur purpurze  
Rósł złoty kielich słońca.

Wówczas Tytan w świąty,  
Co się nad nim niezmierne przetaczały cicho,  
Rzucił głos, płomieniami nabrzmiały i pychę:  
»O słońce! Niezrównaną mocą płodną płonne,  
Ogień twój, żądzę twoją ja mam w moich żyłach,  
Tytan, wykołysany na powietrznych siłach,  
U podnóża Olimpu przez wichry przegonne.  
Uścisku białych Najad, białych Nimf mnie mało!  
Chcę, aby w mych ramionach ciało rzeki drżało,  
Jak ciało białych Najad, jak Nimf białych ciało!  
Z ust róży, z róż tysiąca, chcę ustami memi  
Pić rozkosz, a pod oliw gałęźmi tłustemi  
Leżąc, czekać, aż rosa z nich na skroń mi spłynie,  
Jak łza szczęścia, rozkoszą wydarta dziewczynie.  
Piersi łąk objąć pragnę, biodra gór, co szczytem  
Wieńczą się umajeniem śniegów srebrnolitem,  
Jak liliową koroną. Niech wicher, co w szale  
Pożarem dusi palmy i w wir spiętrza fale

Oceanu, że tonie flota przerażona,  
 Otoczy mnie, okręci, jak białe ramiona,  
 Gorące tak jak ogień i szybkie, jak piorun!  
 Deszcz promienisty, bujny, z jasnych chmur, złotorun,  
 Którym się rozwiewają, szalejąc, niebiosy,  
 Niech mi na barki moje upadnie, jak włosy,  
 Włosy długie, jedwabne, pozłociste, lśniące,  
 A płomień, żar, pęd ognia ty daj z siebie, Słońce!

Niech mi jeziora szemrzą o wieczornej porze  
 Te szepty ciche, słodkie, co zmieniają łożę  
 W eteryczną wędrówkę po niebie przestrzeni,  
 Jakby świat był z bzów wonnych dziany i z promieni.  
 Niech mnie morze kołysze na falistym łonie,  
 Niech wznoszę się, opadam, kiedy wzrok mój tonie,  
 W oczach gwiazd, co nademną błyszczą się tak złote,  
 Jak źrenice Oread, zawiedzionych w grotę,  
 Gdy pierś mą z piersią swoją pragną na wiek skować,  
 A szał miłosny dłoń mą skłania je całować.  
 W objęcia me, jak tabun rozhukanych koni  
 W nurt rzeki w czas spiekoty, aż zawre i bryźnie,  
 Pędź Naturo! Istoty niech się nasze bliźnie  
 Spłyną w jeden wir boski, w jedną Moc, od której  
 Zadrży Ossa i szczyt się Pelionu pokłoni  
 I cyklopów potworne zatrzęsą się mury!  
 Upojony mnie godnem szczęściem, oczy moje  
 Wzniosę, kędy Olimpu są złote podwoje.  
 Tam chodzą jasne bogi, bóstwa niepożyte,  
 Tam Zeus piorunem groźny, biała Afrodyte,  
 Tam Juno, co się pawiem krasnopiórym wieńczy,  
 Hebe o bursztynowym włosie, oczach z tęczy  
 I ta, co nigdy zmayı nie znała, ni grzechu,  
 Psyche, z kwiatów zapachem i barwą w uśmiechu,  
 Tam Ares z włócznią darta z leśnego jaworu,  
 Tam Apollo z kołczanem, bóg śpiewu i moru,  
 I Dyana, łowczyni, co dzirytem śmieie  
 Dziki o kłach błyszczących w czarnej puszczy ściele —  
 Tam pójdę!... Między bogi!... Pięścią mą wywalę  
 Bramę kutą i w jasne wejść nieba sale!  
 Życie bogów zdobędę! Krew w piersiach mi huczy —  
 Niech będę tak jak oni! Niech na włos mój kruczy

80 Upadnie liść laurowy, a pod nogi moje  
Biją ofiarnych dymów wonne, gęste zwoje!  
Chcę bóstwo zdobyć! W uścisk gdy ujmę naturę,  
Cóż więcej zdobyć mogę?! Będzie co w przestworze  
Jeszcze dumy mej godne? Wyższe nad mą żądzę?  
Olimpu mi na ścieżaj rozpękną wrzeczadze,  
Jak psy, Zeusa pioruny powiążę w obroże,  
Sam, jak piorun wpadając w rozpostartą chmurę!  
Chcę władać! Gdy ramiona me prężę, to zda się,  
Ty sam drzysz na swym wozie stukołowym Czasie,  
Bym za szprychy chwyciwszy gdzieś u nieba ścieku.  
Wozu twego nie zdierzył i nie wstrzymał wieku,  
Albo zgoła twój rydwan strącając w otchłanie,  
Dał światu cichą wieczność, wiekuiste trwanie!  
Żaden z bogów tej myśli powziąć się nie ważył...«

Tak wołał, a ząb mu się świecił i wzrok żarzył  
I Najady zbudzone świtaniem i głosem,  
Patrzyły z wiklin wodnych, otulone włosiem,  
Gdzie się srebrzyły listki i skąd się ku ziemi  
Staczał szron kropelkami w słońcu świecącemi.  
Toż Fauny, nim swe trzody popędzą ku wodzie.  
Dziwią się bohaterskiej sile i urodzie  
Tytana, co jak dębczak wyrosły na łące,  
Stał, podobny do boga. Zaś Nimfy pragnące  
I nigdy nie dość syte miłosnej pustoty,  
Rozczesywały muszlą włos miękki i złoty,  
Aby podnieść swą piękność i powab pieszczony,  
Błyszcząc różowem ciałem przez złote zasłony.





## BOLESŁAW ŚMIAŁY.



Siedziałem — gdy to okropne zjawisko,  
 przed którym wszyscy przesłonili oczy,  
 wchodziło, — biskup, — ludu zbiegowisko; —  
 ciżba wylekła ich ku drzwiom się tłoczy, —  
 ja patrzę, — bo już miałem to przewisko  
 Śmiały, — gdy cała ta procesya kroczy...  
 lecz pocóż niosą chorągiew Anioła...  
 jakby na walkę Piekła i Kościoła...

## II.

Pochylały się chorągwie z łomotem  
 u wrót, nim wstały na izbie przedemną  
 a chyląc się, mierzały we mnie grotom  
 krzyżów, — iż trwogę uczułem tajemną,  
 gdy się Archanioł rozwijał ze złotem,  
 w perłach, z tą twarzą malowaną ciemno,  
 a skrzydła w pąsach i mieczysko kręte,  
 weń łyskawice gromowe zakłęte.

I zaciemniała się zwolna komora;  
wnosiły mrok i noc te chusty boże,  
po siwych ścianach pobielanych dwora  
szły cienie jakichś postaci potworze;  
lud na kolana rzuciła pokora,  
a w tym ponurym pomroków wieczorze  
zorze świec twarze rozświecały mnisze, —  
nad nimi dymne smugi śpiew kołysze.

## IV.

Nikt nie śmiał oczu podnieść, wszyscy w lęku,  
i ten korowód mnichów, co przykłęka  
z zapalonemi gromnicami w ręku  
i dzwony, śpiewem głuszone bez dźwięku  
i lud, któremu z żalu serce pęka;  
a wszyscy klątwie rzekli: niech się stanie,  
i potępiali moje królowanie.

## V.

Byłbym się zerwał i rozniósł na mieczach  
świece, ornaty, chorągwie, kropidła  
i rzeź bym sprawił im na martwych rzeczach  
bez ducha, gdy mam duchem silne skrzydła,  
że nie na jeden dzień mam państwo w pieczach, —  
już ta z biskupem kłótnia mi obrzydła;...  
— gdym się w tył zachnął i zawadził słupa,  
korona moja spadła przed biskupa.

## VI.

Oni to mieli za znak, czy za czary  
i grozą zdjęci klękli przed widziadłem  
i że początek już znaczy się kary,  
że, w tej koronie spadłej, ja upadłem,  
że dla mnie z grobów wychodziły mary,  
przed których trupim widokiem pobladłem, —  
tak w ich przesądnych oczach coś się stało,  
co potępiło mnie i druzgotało.

A oni, — jakby w obłędzie, skazańce,  
 za biskupiej ręki skinieniem,  
 bo drżeli, jak wojenne liche brańce,  
 śpiewy żalosnem mieszając jęczeniem,  
 ciskali o podłogi ziem kagańce  
 i przerażeni sami tem zdarzeniem,  
 obłędne mieli oczy, dech zaparty, —  
 — Biskupie! — więc to Boży Sąd otwarty!?

## VIII.

Co miały znaczyć łamane gromnice  
 nie wiem, — lecz straszne było to rzucanie,  
 i wstręt mnie do nich brał i błyskawice  
 gniewu, — że ledwom znalazł hamowanie,  
 by nie cisnąć w biskupa twarz mej rękawice  
 żelaznej — za to księżę wyklinanie; — —  
 poszli —ostałem sam w tronowej sali;  
 wnątrz piersi mściwa złość wre, gorze, pali.

## IX.

Ostałem sam i patrzę, — sala mroczna  
 i te leżące na deskach okruchy  
 wosku i duszność kadzideł powłoczna  
 w smugach, — że jakieś wijące się duchy; —  
 ja sam, — że tak mię opuścili do czna  
 wszyscy. — Za dworem świszczą zawieruchy, —  
 brząkają w łuski rybie u okienic,  
 miecą gałęzmi drzew na płatwy ścienic.

## X.

A tam, pod stosem świec pogruchotanych,  
 których trzask, łomot, wciąż trwa i przeraża,  
 korona, — na głos tych klątew śpiewanych...  
 korona! którą wzięłem u ołtarza!  
 w której zakulem pierścień ziem wyrwanych  
 memu dziadowi, ojcu! — do cmentarza  
 leżąca, w jakimś rozpędzie, fatalna,  
 pod stopy Ducha, co klnie, — — Króło-zwalna!!

Zabić! — Jak, kiedy? Gdziekolwiek! Sam skłóję!  
 Dworaków wezmę rycernych i wpadnę, —  
 a którzy nas okrzykną: mnicho-zbóje,  
 pościnał łyby niechętnych i owładnę;  
 niech wiedzą o mnie, żem król, że panuję; —  
 tej chwili moich przybocznych zagadnę, —  
 Po co?! — Rozkażę! Muszą! Krew! Krwi wołam!  
 Księżel! Nad moim mieczem świece połam!

## XII.

Przeciw zamczyska, przez Wiślane wody,  
 na ostrowu skalistej opoce,  
 kościół pośrodku drewnianej zagrody;  
 w koło szum wiklin i wicher łopoce,  
 tłukąc wierzbami o mosty i wzwody,  
 jakby się dawne w nich żalące Moce;  
 węgły gontyny spróchniałe przez wieki;  
 jezioro święte obok i pasieki

## XIII.

święcone; w tych gwarzyły Lele boże  
 w drzewach lipowych, wieczystych; stuwieczna  
 Moc; co ramiony objęła przestworze  
 nieba i Słońcu się śmiała słoneczna; —  
 w nich skryte niegdyś prastare wielmoże:  
 Krasylud i ich ślubna Żywia śleczna;  
 stały u wstępu gaju, nieprzytomne  
 a chwast je w koło przerastał, niesromne.

## XIV.

Przypomnę to uroczysko stare,  
 pełne węzów, plamistych jaszczurów,  
 co starodawną tam szeleszczą wiarę,  
 z nor ześlizgnięte podskalnych do murów,  
 na białe płyty wpełzły ciche, szare  
 a pozwijane w kłębki u kosturów,  
 we świętą wodę sadzawki wślepione,  
 jak węzownice wróżebne, pośpione.

Kto je tam śpiące obaczy, nie spłoszy  
i wzrok nasyci rojeniem z téj wody, —  
bo się wciąż szkliwo mieni w tej pustoszy,  
coraz to inne ukazując spody  
a dna zasute złotem, — ten dla duszy  
pojmie tajemną siłę i urody  
obleją jemu twarz; — tam te zaskrońce  
mają studzienny skarb: zmartwiałe Słońce,

## XVI.

i króla-węża, któren wiecznie czuwa  
na dnie, a węzeł święty ma u czoła,  
złocistą obręcz, — zeń jad wody struwa;  
z wierzchu się wielkie zakreślają koła  
płynne, znów widmo się nagle zasnawa.  
— Kto węża ujrzy, — tego Niebo woła, —  
Raj duszy; — ręką niech zaczerpa wody  
a pijąc zajdzie w tamten-świat, na Gody!

## XVII.

Tutaj gromady się wędrowne garną,  
z lirnymi, którzy znają moc strumieni;  
przystają zadumani na toń czarną,  
czy z za porostów i listów kiścieni,  
Szczęście uśmiechnie się twarzą figlarną.  
I wody czerpią strutej do garścieni,  
a męty te chowają, jak lektwarze  
z Lalników przyniesione przez pieśniarze.

## XVIII.

Dziś w zaniedbaniu leżały studniska;  
wody zerdzałą zadziergane rzasą;  
tylko, jak dawniej bujne węzowiska  
w skałach i sady, które bielmo trzasa  
kwietne, gałęzi ponad te mokrzyska  
zwisłe; — gontyna i te, co tam z nią są  
w ruinach, spadłe bogi, światowitne,  
co stopą wryte w ziemi, ponad dach szczytne

łbami, we wianach jabłonek, grusz, śliwek  
 żrałych, dzierżący w grabach wielkie kroje,  
 patrzyły ślepiem oczu z pod pokrywek  
 mosiążnych, ... na Sobótne ludne roje,  
 na skoki rześkie chłopów, płąsy dziwek,  
 co szły częstować stare Bogi swoje. —  
 Dziś mchów spowite pleśnią i rdzą zjadłe,  
 króle, we wielkiej walce duchów padłe.

## XX.

Tam Chrystusową dźwignięto mogiłę,  
 ze skalistego wykutą wyłomu;  
 wryto korzenie w skałę dziewięsile  
 i krzyż zatknięto męczeński na domu.  
 A Władę, w hańbach leżą w pół-przegnięte;  
 tylko je gędźce uczczą pokryjomu,  
 tylko nikt nie śmie zasypać jeziora.  
 Święta dziś niemoc ich, piorunna wczora.

## XXI.

Na skale Kościół-katedra, biskupia;  
 kamień do różnych przyciosany garbów  
 biały; — — a w światłach nocy twarz się trupia  
 patrzyła z okien wązkich i wyszczarbow; —  
 jak gdy się włos i ubiór zeskorupia  
 prastary, jakby Sezam klętych skarbów:  
 Wid-truchło, — tak jawiła się twarz sroga  
 w kamieniach, które miały rysy Boga...

## XXII.

Choćby i starość twoja i włos siwy,  
 żeś ty kościelne obrzędy przesądził,  
 żeś ty przez jakichś potęg czar straszliwy  
 wobec mnie i wobec Boga pobłądził,  
 żeś ja potruchlał na potworne dziwy  
 a potruchlał, żeś fałszywie sądził, —  
 aż się przed oczy moje stawił zmarły,  
 iż się przez ciebie podziemia rozwarły,

I zatrwożyły mnie króla-człowieka,  
 duchem mnie poraziwszy i mieczem,  
 gdy się rozpadał grób i wstały wieka  
 trumny, z przegniłem widziadłem człowieczem,  
 że choć rzecz była w pół-śnie i daleka, —  
 z ciałem przez ziemne gliny pół-kaleczem,  
 co na świadectwo przyszło, gdy sąd ważem,  
 dech na mnie trupi wiał,... byłeś grabarzem!

## XXIV.

To Bóg mnie dzisiaj dłoń daje karzącą  
 na cię, — a tobie Bóg myśli zamyła,  
 że ty ze zdradą przeciw mnie knującą  
 dziś, gdy się państwo waży i przesila,  
 ty mnie chcesz zwłóczyć twoją ręką klnącą  
 i nie dość, żeś już zmiażdżył mnie do tyła,  
 dajesz me berło w ręce zdrajcy-brata,  
 że ja purpurę zmieniam w czerwień kata.

## XXV.

Mszę sprawiał, — gdy rozwarłem drzwi kościoła;  
 lud klęczy, — wszyscy modłami zajęci,  
 na ołtarz patrzą, do bożego stoła  
 przystępujący; — u wrót my przekłęci  
 z mieczami; oni nas nie widzą zgoła,  
 tylko z ołtarza na mnie patrzą święci.  
 I właśnie biskup podnosił opłatek  
 maleńki, . . . . .

## XXVI.

I zaślepilo mnie, — stałem wpatrzony  
 w ten ołtarz, w modły, we świece płonące,  
 które zagasły dla mnie, — jak uśpiony  
 w mych władzach wszystkich, — a serce bijące  
 młotem pod zbroją, — że byłem zdradzony  
 przez duchy, dotąd mię potęgujące,  
 opuszczon, marny, jakby moja siła  
 w niego, tam przed ołtarzem przechodziła.

Naraz się biskup odwrócił do ludu,  
 by podniesioną krzyż kreślić prawicą  
 błogosławiący, — — o stój chwilo cudu!  
 może nad moją skreśli go przyłbicą,  
 przeżegna mnie, że zbędę klątwy brudu;  
 gdy byłbym klęknał, — już goreje lico,...  
 Naraz On! — poznał, — o wiekowa męko! —  
 stał z podniesioną wciąż do krzyża ręką,

## XXVIII.

ale nie kreślił znaku, — stał w milczeniu,  
 z oczyma w jakąś straszną dal pozamną,  
 jakbym w tém Jego nie istniał widzeniu,  
 przepaść otwierał straszliwą, rozłamną  
 pośrodku nas obydwu, — w rozdwojeniu  
 tém głębiąc moją duszę, jako kłamną,...  
 — że już leciałem na oślep przed siebie,  
 we krwawym wszystko nurzając pogrzebie.

## XXIX.

Zabiłem. — a rycerze moi go wywlekli  
 po za drewniane ganki na podwórze  
 i ciało tam odarłszy z szat posiekli  
 przy studni, której zrąb kowan w marmurze;  
 potem nad wodą stali i krwią ciekli  
 z mieczów i zbroi; czekając aż stróże,  
 przysłani z zamku, nadejdą z ptakami,  
 bom kazał sprzątnąć kawalce orłami.

## XXX.

Na moim zamku, na tyłach, w ogrodzie,  
 miałem zwierzyńce, — w nich chowałem ptaki  
 orły; orłowie są mém godłem w rodzie,  
 więc się chowały, a na łbach czapraki  
 pąsowe, żeby nie były ku szkodzie;  
 ciskało im się zwierz mały wszelaki;  
 więc, jako kaci w kapturach krwi chciwi,  
 chadzali w moich zwierzyńcach straszliwi.



Kazałem ptaki puścić, by pożarły  
a potem siec różgami i rozgonić; —  
a tu mnie mówią, — że się lekko wsparły  
na trupie, — i że jakby chciały bronić  
przystępu; że wszérz skrzydła rozpostarły  
strzegąc, by żadnej części nie uronić;  
że ich nie śmiano tłuc: — już gniew mnie budzi;  
bardziej mi było ptaków wstyd niż ludzi.

## XXXII.

I jużem tam nie poszedł, choć mię ciągnęło  
i wstyd, — nie lęk; lecz myślę, gdy spostrzegą,...  
Nieznane mi uczucie już się łągnęło; —  
ich wzroków chciałem uniknąć; — niech strzegą.  
Nie wiem co moje mściwości przemogło...  
Więc orły niechże teraz będą Jego.  
Podobno nocą nad ciałem się palą  
światła, a ludy trupa śpiewem chwala.

## XXXIII.

Po nocach widywałem te brzaski  
z okien zamku ku stronie wiślany,  
że tam cudy na znak bożej łaski,  
że już biskup ze czcią pochowany,  
że nad trumną są widzialne blaski,  
że się zapach rozchodzi różany,  
że on święty,... że u jego ciała  
tłumy kalek,... że Bóg przezeń działa.

## XXXIV.

Urosła między ludem wieść, że mnie koronę  
Archanioł z głowy zdarł i o ziem rzucił; —  
Czy ja w téj chwili pamiętnej zjawione  
widziałem jakie dziwo z nieba... Ktoś zakłócił  
jasność myślenia wprzódy, aż zburzone  
pogody moje Czar kirem posmucił; —  
nad moją głową miecz jakiś lecący  
boży, — czy własny mój się zwidujący.

Walczyć z powieścią ludu nieuchwytną...  
 Chciałem zmódrz, zdusić, stłumić Słowo.  
 Każę, a sługi moje w pień het wytną  
 bajarzy, dziadów lirowych z obmową; —  
 A tu, jak kwiaty coraz nowe kwitną,  
 ocieśniające mą górę zamkową,  
 wieści, już w pieśni zmienione skrzydlate

.....

## XXXVI.

Znienawidziłem kwiecie i dźwięk pieśni;  
 wygnałem śpiewców, wypaliłem darnie  
 a Echa do mnie biegly, wciąż boleśniej  
 szarpać mą duszę i nowe męczarnie  
 rosły i potężniały, — czułem pleśni  
 w sercu, że serce się do dźwięku garnie;  
 żyłem w rozłamie zatrwożonej duszy,  
 nasłuchujący tych Ech w wielkiej głuszy.

## XXXVII.

Przelałem jeszcze potem krew niejedną,  
 bo mi już ziemscy oporem stawali;  
 jak ujrzą topór katowski, pobledną  
 i jak poczują sine ostrze stali  
 na karkach; — i już coraz odtąd rzedną  
 rodowi, co się dawniej tłumem pchali;  
 jedni mi tylko ostali rycerni,  
 zaprzysiężeni zabójstwem, więc wierni.

## XXXVIII.

Prawie zaczęła się wojna domowa,  
 bo już ktoś wici rozsęła po dworach,  
 bezemnie, com jest tu królewska głowa:  
 Samotny, — jeno przy tych lęku zmorach,  
 których dziś pełna komnata zamkowa;  
 że psy, trzymane na moich komorach,  
 choć nikt nie wchodzi i śpią moje chłopcy,  
 jakby kto wchodził, wyją, lgnąc do stopy.

Wszędy w mych oczach to widmo skrwawione,  
 gdzie spojrzę: — lecz już z kawalców zrosnięte,  
 z ręką na klątwe wieczną zamierzone,  
 straszliwe, jako Świętość okrzyknięte, — —  
 Jakąś północnych rozdarłem zasłonę  
 tajemnic,... że już wstają trupy ścięte,  
 w mém państwie straszne szerząc trupie rządy,  
 żem jest wyklęty król przez Boże-Sądy.

## XL.

Miałem opuszczać kraj, z pocztem i zbrojno;  
 zebrać pomocnych i wrócić co rychło;  
 zapalić wszystkie ziemie nową wojną!  
 Możeby w ogniach o zbrodni przycichło!  
 We krwi wykąpać się kąpielą hojną.  
 Być królem znowu. . . . .

. . . . .  
 . . . . .

## XLI.

A teraz pożegnać...  
 Zamczysko, Wisłę, skały, — Na jak długo? —  
 Powrócę! — Podjechałem ku wodzie;  
 słucham jak szemrze, patrzę, jak się smugą  
 w błękitach wije przy grodzie  
 i słyszę, jakby głosy dźwięczne długo  
 ze dna, czy śpiewy gdzieś w wodnym narodzie  
 rusałnym dla mnie i jakby żegnanie  
 i skarga w tych pluskotach, czy igranie...

1. *Błąkasz się królu krwawy  
 i ku mnie wiedziesz konia, —  
 cóż ku mnie wodzisz konia,  
 gdy jemu pachną błonia  
 a ty się rwiesz do sławy?*

2. *We Słońcu stoisz złoty  
 i ku mnie kłonisz twarzy, —  
 cóż w niej się ogień żarzy,  
 ze smutku-że, tęsknoty —  
 we Słońcu zgaszasz złoty...*

3. *Za tobą twoje grody  
tyskają wież dziobami, —  
cóż się u piasków wody  
wodzisz nad pustkowami...*
4. *Żleć w domu, małeć serce;  
czy chcesz na Czerwone-miasta,  
jak cię pana witają i własta  
i ścielą mostem kobierce...*
5. *Żleć w domu, małać dusza;  
czy chcesz na Pomorzany, —  
oto, gdy śnieg zaprusza,  
lodem się zetną piany,  
poimasz Pomorzany.*
6. *Czy chcesz za czeskie góry,  
czy na węgierskie szlaki,  
żeś zładził mnogie znaki  
i rycerzy skrzydlatych las konny*
7. *Cóż, gdyś już zgotowiony,  
w zamkowe patrzysz mury  
i zapuszczone brony  
i kłonisz twarz ponury....*
8. *Cóż w niej się ogień żarzy, —  
ze smutku-że, tęsknoty  
we Słońcu zgasasz złoty,  
czy stos się tobie marzy  
pozgonny...*
9. *Królu wypogódź czoło*

. . . . .

## XLII.

A ja stoję, żegnam, com polubił...  
»Królu wypogódź czoła...«  
w pluskaniu szemrze zgoła...  
Powrócę! — Podjechałem ku wodzie

i długom stał u brzegu, ducha gubił  
 wpatrzony w gród, w podegrodzie,  
 w stołpy drewniane, warowne wieżyce,  
 w rzekę, ... jak na niej wiatr fale hołubił.

. . . . .  
 i przypomniałem Gniezdno i Lednicę.

## XLIII.

Jeżeli wrócę, — — to tam!

. . . . .  
 . . . . .

## XLIV.

Na Ostrowie zasadzę królewską stolicę,  
 wskrzeszając dawne zwaliska ułomne;  
 opaszę się w ogniste błyskawice  
 i warownie pobuduję niezłomne  
 i będę mieczem zakreślał granice  
 i waszym trwogom Popiela przypomnę!

. . . . .  
 . . . . .

## XLV.

I naraz orły moje widzę w dali,  
 jak nad Skałką polatują i krążą,  
 jak im się w pąsach słońca pierś korali  
 i widzę, oto ku mnie, ku mnie dążą;  
 to się aż gubią w chmurach dziwnie mali,  
 to się ciskają nagle w dół i ciążą  
 skrzydłami ponademną, dziwe-ptaki,  
 Jego-stróże, we wróżbne rozwinięte znaki.

## XLVI.

Bo z nich na niebie był krzyż napowietrzny,  
 co się nademną chwiał na chmurach czarny,  
 żem poznał miecz ów mściwy, obosieczny  
 i wiew poczułem cmentarny;  
 że może Znak ten Śmierci dla mnie wieczny,  
 żem się skończył ja królewski i cezarny.  
 Odtąd patrzyłem na Słońca zachody,  
 jak na idące w Sen krwawe narody.

Jakoweś walki obłoków przedzgonne  
i wielkie wojsk koczowiska,  
mieniące w łunach, piechotne i konne,  
to w dal płynące, to z bliska,  
to k' sobie, jakby łańcem kopij skłonne,  
to w rozległe rozwite koliska,  
to potężniały, to gasły dla oka,  
aż je wieczorna stłumiła pomroka.

## XLVIII.

Z zadumy się zrywam, szarpnąłem wędzidła  
i koniam wspiął ostrogą;  
za mną rycerni, rozwici we skrzydła,  
wśród trąb dących złowrogo, —  
a ponademną te chmurne straszycła  
orłów nad moją drogą.  
— O jakaż mnie Dola! O jakaż mnie droga!  
Ja w walce tknięty od Boga!!



## Z CYKLU „DOLCE STIL NUOVO“.

CIENIOM ADAMA ASNYKA.

Ty ponad głębią schylony zawrotną,  
wpatrzony w otchłań, która się powleka  
w bezmiar ruconem odbiciem człowieka  
i nikłej piany igraszką stokrotną ;

Ty, co się skarżysz, że wiecznie ucieka  
obraz przez Maję roztoczony psotną, —  
i nim go myślą można zgłębić lotną,  
już obraz niknie i spada powieka:

za Twym przykładem na prabytu zrębie  
wsparty, poglądam w otchłanne bezedno, —  
ale ja czuję, żem z tem morzem jedno,

że mnie, jak falę wyrzuciły głębie  
i tkwię w nich duszą, a więc patrzeć muszę  
nie okiem w pianę, lecz w otchłań przez duszę.

## STARY BÓG.

Jak lew na starym świecie się położył,  
okrył go piersią, w błękit dumną głowę  
podniósł i czekał...

Ponad nim się srożył  
komet wir w węże splątany ogniowe,  
a wyżej straszna ręka Przeznaczenia  
wisiąca.

Niegdyś na rozkaz tej Pani  
on świat swój stworzył i skrósł nocy cienia  
rozpalił gwiazdy, pochodnie otchłani  
złote, I rządził już milion milionów  
wieków tym światem, bezlitośnie, srogo,  
gasząc niesforne słońca wśród zagonów  
nieba i zniszczeń codziennych pożogą  
twarz swą malując krwawo. Drżały światy,  
gdy znak swój straszny na niebie zapalił  
i szedł — bóg młody — w piorunów szkarłaty  
odziany, sądził i jak orkan walił  
krnąbrne w toń śmierci.

I minęły wieki, —  
świat się zestarzał i on wraz ze światem  
starym się poczuł. Lat spienione rzeki  
— krew w żyłach jego — wraz z źródłem bogatem  
niegdyś, wysychać jeły i swe fale  
coraz to wolniej toczyły, kaskadą  
ołowiu w otchłań lecąc ociężale.  
A on, samotny bóg nad gwiazd plejadą,  
wrogi współbogom, co na złote trony  
zasiedli wczoraj, — władzą stuwiekową  
dumny, w gasnących blaskach swej korony,  
z senną, na piersi pochyloną głową  
patrzył na gwiazdy, leniwym obrotem  
wystygłe ciała kręcące w przestrzeni  
i słońc ostatnich malowane złotem  
ziemie, odarte z kwiatów i zieleni —  
i dumał.

Wieki płynęły. I zda się —  
każdy wiek węzłem był, co niebios pana  
łączył ze światem... Gwiazdy zgasły w czasie



w pamięci jego wschodziły; co rana  
 słońca trup czarny świecił w jego duchu  
 dawnym płomieniem i gwiazdziste kręgi  
 grały pieśń życia, harmonji i ruchu,  
 pieśń jego chwały, szczęścia i potęgi,  
 przebrzmiała dawno. — Świat, co niegdyś z trwogi  
 przed nim drżał, teraz w godzinie dosytu  
 stał mu się blizki i jak dziecię drogi.  
 Wieki mijały.

Nagle skrós błękitu  
 zagrział piorunny głos wszechwładnej Pani:  
 »Stary włodarzu! zdaj liczbę z powodzi  
 wieków i zamknij już księgę! W otchłani  
 nowe są światy i bogowie młodzi  
 na twoje miejsce! — Zniszcz twój światek mały  
 i ustąp z drogi!«

Drgnął bóg stary: Ona!  
 to Jej grzmot mówi! — Słońca się zachwiała  
 i drży w posadach przestrzeń niezmiernona:  
 nadeszła chwila! — Czekał jej tak długo,  
 że już zapomniał, iż przyjść musi groźna,  
 nieubłagana. Uczuł, że jest sługą,  
 nie panem. Odtąd będzie pustka mroźna  
 tu, gdzie on władał, który jutro — błądy  
 cień boga — moc swą raz ostatni jeszcze  
 dziś wysiliwszy w tem dziele zagłady,  
 pójdzie w wieczności noc błędzić, gdzie deszcze  
 zgasyłych gwiazd płaczą...

Ale któż się zdoła  
 oprzeć Jej woli? — Z drogi, stary boże! —  
 Wyciągnął rękę posłuszny i z czoła  
 zdjął grom ostatni...

Nie! on go nie może  
 rzucić na świat ten trupi, na swe dziecię,  
 jego staremu tak dziś drogie sercu! —  
 Nie! On tych zwiędłych kwiatów gwiazd nie zgniecie,  
 na tym wybladłych błękitów kobiercu  
 szytym słońc złotem — nie wyrze gromem  
 słowa nicości!

A jeśli do szczętu  
 zgasała moc jego, który słońc ogromem

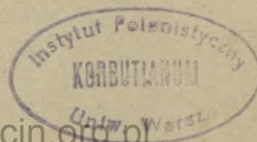
władał i z dzikich żywiołów zamętu  
 pieśń sobie stroił — jeśli mimo dzielność  
 boską od zguby świata nie obroni, —  
 jeśli skazany jest na nieśmiertelność  
 bez słońc i złotej korony u skroni  
 królewskich: raczej niech Jej straszne ramię  
 świat druzgocące pośród gwiazd ogrojca  
 i jego, starca, razem z światem złamie  
 i unicestwi — jak Króla i Ojca  
 świata!

Jak lew się na świecie położył,  
 okrył go pierśią, w błękit siwą głowę  
 podniósł i czekał...

Ponad nim się srożył  
 komet wir w węże splątany ogniowe,  
 a wyżej straszna ręka Przeznaczenia,  
 pełna piorunu, który niecierpliwy,  
 chwiał się, wisiła...



INSTYTUT  
 BADAŃ LITERACKICH PAN  
 BIBLIOTEKA  
 00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat //  
 Tel. 26-68-63









POEZJE

Jerzego

Żuławskiego



Na strunach duszy

Kraków 1895

Intermezzo \* \* \*

Kraków 1897

Poezje, tom II \* \* \*

Warszawa 1900



Jan Sten - - - -

Jeden miesiąc  
życia

Utwory prozą: JEDEN MIESIĄC  
ŻYCIA. HAMLET. PRZYSIĘGLY.  
W PEŁNEM SŁOŃCU. PIERW-  
SZY WIERSZ. TRZY DUSZE -

Cezary Jellenta:

JULIUSZ  
SŁOWACKI  
DZISIAJ

Do nabycia we wszystkich  
księgarniach.



SZKIC KONTUROWY.